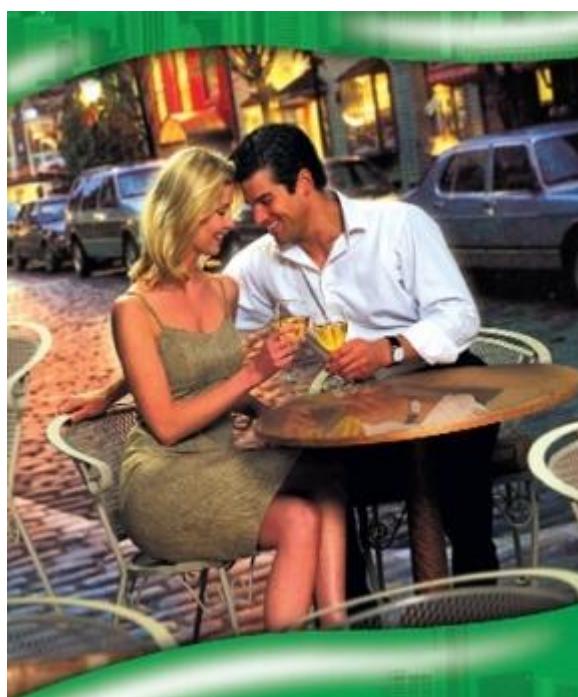




***Natalie Anderson***



***Mroczny sekret***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sophy Braithwaite westchnęła z irytacją. Stała ze skrzyżowanymi ramionami, stukając obcasem o podłogę. Z początku powoli, lecz z każdą sekundą coraz szybciej i głośniejszej. Jej zniecierpliwienie rosło w błyskawicznym tempie.

Może pomyliłam pokój? - zastanawiała się przez chwilę. Nie, na pewno nie. Zrobiła dokładnie to, co kazała recepcjonistka: weszła schodami na pierwsze piętro, a następnie odnalazła drzwi z właściwą tabliczką. Była w odpowiednim miejscu. Godzina również się zgadzała.

Tup, tup. I kolejne ciężkie westchnienie.

Omiotła wzrokiem obrazy zdobiące ściany. Wszystkie były mniej lub bardziej udanym hołdem dla malowniczych krajobrazów włoskiej wsi. Zapewne za doborem płócien stała sama Cara. Następnie Sophy przeniosła wzrok na biurko, które na pierwszy rzut oka przypominało raczej koszmarną instalację szalonego artysty. Panował na nim bowiem niebywały bałagan; odnalezienie choćby długopisu byłoby niemożliwą misją. Papiery piętrzyły się na blacie, tworząc wysokie stosy, które niebezpiecznie się przekrzywiały, jakby zaraz miały runąć na ziemię i grubą warstwą pokryć całą podłogę. Lawina nieotwartej korespondencji zupełnie zasypała klawiaturę komputera, część listów wylądowała na fotelu i pod biurkiem. W powietrzu wirowały drobinki dawno nieścieranego kurzu, doskonale widoczne w promieniach słońca wpadającego przez okno. Cara niewątpliwie użyła eufemizmu, mówiąc, że w jej gabinecie panuje lekki „rozgardiasz”.

- Nie miałam czasu wpaść do biura choćby na kilka minut, żeby zrobić tam jako taki porządek - powiedziała bezradnie, gdy zadzwoniła do Sophy. Po chwili milczenia dodała smutnym głosem: - Mam teraz na głowie o wiele większy problem...

Cara miała na myśli swoje dziecko. Urodziło się sześć tygodni przed terminem; biedne maleństwo nadal leżało w szpitalu. Cara chodziła niewyspana i niedożywiona, czuwając nad nim dzień i noc. Nic więc dziwnego, że musiała tymczasowo zaniedbać swoją pracę na stanowisku administratora biura, którą wykonywała na pół etatu dla miejscowej fundacji charytatywnej.

Irytacja Sophy sięgnęła zenitu.

Gdzie on się, do diabła, podziewa?

On, czyli ten cały Lorenzo Hall - ponoć jakiś ważniak, który zbił fortunę na handlu winem, a teraz jest pupilkiem śmietanki towarzyskiej, której mniej lub bardziej szczerym hobby jest zbieranie funduszy na szczytne cele. Lorenzo Hall, szef fundacji, która powinna się przemianować z fundacji „Gwizdek” na fundację „Chaos”, pomyślała Sophy, rozdrażniona jego niepunktualnością.

- Lorenzo jest aktualnie strasznie zajęty. Pod nieobecność Aleksa i Dani sam musi wszystkiego doglądać - powiedziała Cara zatroskanym głosem, kiedy siostra Sophy, Victoria, podała jej telefon. - Byłoby wspaniale, gdybyś mogła tam pójść, opanować sytuację i sprawić, by Lorenzo przestał się tak bardzo martwić o swoją ukochaną fundację.

Sophy się zgodziła, ponieważ obchodził ją los Cary, a nie pana Halla. Skutek był jednak ten sam. Tkwiła w tym zapuszczonym gabinecie, marnując swój cenny czas. Najwyraźniej fundacja wcale nie była oczkiem w głowie jej właściciela. Uprzytomniła sobie nagle, że od jakiegoś czasu podświadomie tupie w rytm niezidentyfikowanego, dudniącego odgłosu dochodzącego z oddali. Dziwnie to brzmiało: odgłos stopniowo przyspieszał, po chwili urywał się, a potem znowu zaczynał rozbrzmiewać. Pewnie nieopodal jakiś robotnik tłucze młotkiem na budowie, pomyślała Sophy, przestała tupać i znowu rzuciła okiem na zagracone biurko i jego okolice. Uprzątnięcie tego bałaganu to zadanie na kilka godzin. Żałowała, że nie odmówiła. Nie potrafiła jednak mówić „nie”, kiedy ktoś prosił ją o pomoc lub przysługę. Wróciła do Nowej Zelandii niecały miesiąc temu, a jej rodzina już zdążyła zapełnić jej grafik na kilka tygodni w przód. Sophy jak zwykle biernie im na to pozwoliła. Asertywność zdecydowanie nie była jej mocną stroną. Ze smutkiem pomyślała, że znowu nie uda jej się wygospodarować choćby odrobiny czasu na własną pasję.

Och, gdyby tylko oni się wszystkiego domyślili! Wiedziała jednak, że jej bliscy nie dostrzegli, że zaszła w niej pewna zmiana. Zresztą zachowywała się tak, jakby rzeczywiście wszystko było po staremu. Z jej ust ciągle dało się słyszeć: „tak, oczywiście”, „jasne, nie ma sprawy”, „zrobię to”, jakby nie miała własnego życia, własnych planów.

Szkopuł w tym, że miała. Lubiła pomagać ludziom, lecz czerpała przyjemność również z czegoś zupełnie innego. Ilekroć o tym myślała, serce zaczynało jej mocniej

bić. Z całych sił pragnęła udowodnić rodzinie, ale też samej sobie, że jej pasja może być jej pracą. Jednak aby tego dokonać, potrzebowała czasu. Czyli tego, czego z reguły drastycznie jej brakowało. Nic więc dziwnego, że nie miała ochoty sterczeć tutaj i czekać na jakiegoś biznesmena od siedmiu boleści, który nie potrafi się nawet stawić na czas na spotkanie w swojej firmie. Czekala już przeszło dwadzieścia minut. Zerknęła na zegarek i jak zwykle poczuła na jego widok przyjemny dreszczyk. Upolowała go na pchlim targu w południowym Londynie. Dokupiła pasek stylizowany na stary, zaniósła zegarek do zegarmistrza, i teraz cacko działało bez zarzutu, jak nowe.

Znowu rozległo się dudnienie, które, nie wiedząc czemu, natchnęło ją do cofnięcia się myślami do czasów szkolnych. Mgliste wspomnienia podobnego dźwięku... Stała jej przed oczami szkolna sala gimnastyczna. Wyminęła zagracone biurko i walające się na podłodze listy, podeszła do zakurzonego okna i wyjrzała przez nie. Zobaczyła jakiś budynek, magazyn lub garaż, a przy nim mały wyasfaltowany plac. Wciągnęła do płuc haust świeżego, chłodnego powietrza.

Jej dziwne skojarzenie okazało się trafne. Na placu ktoś grał w koszykówkę. Lorenzo Hall. To na pewno on, pomyślała, spoglądając na mężczyznę biegnącego po prowizorycznym boisku. Gdyby chociaż grał z kimś innym, Sophy byłaby w stanie zrozumieć, że chce zakończyć mecz, zanim się z nią spotka. Grał jednak zupełnie sam. Nic nie stało mu na drodze, by wejść na górę i stawić się punktualnie na spotkanie. Nic prócz jego arogancji. Poczula, jak krew w jej żyłach zaczyna wrzeć. Jakim prawem ten niepoważny człowiek zakłada, że jej czas nie jest bardzo cenny? Jakim prawem wszyscy dookoła tak zakładają? Wyszła z gabinetu i zbiegła po schodach, stukając głośno obcasami. Minęła recepcjonistkę, która akurat szła w przeciwnym kierunku. Na głowie miała zestaw słuchawkowy, przez który prowadziła rozmowy telefoniczne.

- Czy szanowny pan Hall długo jeszcze będzie kazał na siebie czekać? - zapytała Sophy najbardziej uprzejmym tonem, na jaki mogła się zdobyć, przez co paradoksalnie doskonale słyszalne stało się to, co chciała ukryć: irytacja i pretensja.

Kat zamarła w pół kroku.

- Myślałam, że szef jest na górze! - odparła zdumiona.

Sophy posłała jej spojrzenie pełne dezaprobaty. Nie wiedziała, że jej szef nie stawiał się na spotkanie? Przecież jest jego recepcjonistką! Czy wszyscy w tym miejscu tylko udają, że pracują?

- Proszę mi wierzyć, że go tam nie ma - rzuciła Sophy zimno.

Kobieta jeszcze mocniej zmarszczyła czoło.

- Jestem pewna, że wcześniej go widziałam. Proszę sprawdzić, czy nie ma go przypadkiem na drugim piętrze. Albo z tyłu, na podwórku. - Następnie odeszła, wracając do swoich pilnych obowiązków.

Sophy przeszła przez hol i wyszła tylnymi drzwiami. Spotkanie zostało umówione przedwczoraj. Może i Lorenzo jest nowo koronowanym królem eksporterów wina, lecz Sophy zachodziła teraz w głowę, jakim cudem udało mu się odnieść taki sukces. Człowiek, który nie wie, co to punktualność i słowność. Wyszła drzwiami na podwórze. Wiedziała, co za chwilę ujrzy. Nie wiedziała jednak, że z bliska widok tego mężczyzny zrobi na niej aż tak piorunujące wrażenie.

Zamarła i przełknęła ślinę. Stał odwrócony do niej plecami. Miał szerokie, muskularne, opalone plecy i ramiona. Nic dziwnego, skoro zamiast pracować całe dni spędzał tutaj, grając w koszykówkę w blasku słońca, nagi od pasa w górę. Sophy poczuła, jak w jej piersi buchnął nagle płomień. Uznała, że to gniew, a nie... coś innego. Mężczyzna stał na rozstawionych nogach i lekko ugiętych kolanach, dzierżąc w rękach piłkę. Przygotowywał się do rzutu. Przyczajona z tyłu Sophy poczekała na właściwy moment. Kiedy mężczyzna podskoczył, odezwała się donośnym głosem: - Lorenzo Hall?

Rzecz jasna, zupełnie spudłował. Piłka nie trafiła nawet w tablicę. Sophy uśmiechnęła się triumfalnie, lecz już w następnej chwili uśmiech zamarł jej na ustach. Mężczyzna jakby w zwolnionym tempie odwrócił głowę i otaksował ją błyskawicznie swoimi ciemnymi oczami, nie odzywając się ani słowem. Następnie znowu się odwrócił i ruszył w stronę rozklekotanego kosza, by podnieść piłkę.

To wszystko? - zdziwiła się Sophy. Jedno przelotne, pogardliwe spojrzenie i nic więcej? Nie przywykła do tego, by ktokolwiek traktował ją z taką arogancją. Co prawda, w przeciwieństwie do pozostałych członków jej rodziny, nie zrobiła zawrotnej kariery w adwokaturze, lecz skłonna była wierzyć, że samą swoją prezencją robi wrażenie na oto-

czeniu. Zawsze była nienagannie ubrana. Dziś miała na sobie lnianą spódniczkę w kolorze *baby blue* oraz perfekcyjnie wyprasowaną białą bluzkę. Usta pociągnięte nieco zgaszoną, lecz ładną szminką, twarz starannie upudrowana, włosy precyzyjnie ułożone.

Mężczyzna zgarnął piłkę z ziemi jednym zamaszystym ruchem ręki. Odwrócił się i znowu zgromił Sophy spojrzeniem. Następnie stanął twarzą do kosza, wycelował i wykonał rzut. Piłka trafiła do obręczy.

Gdyby nie gniew, który wybuchł w jej piersi, Sophy odwróciłaby się na pięcie i odeszła. Była jednak zbyt oburzona: głupie rzucanie piłką jest dla niego ważniejsze niż zaplanowane wcześniej spotkanie? O organizacji charytatywnej, którą kierował ten facet, wszyscy wypowiadali się w samych superlatywach. Sophy słyszała też opinie krążące na temat samego Halla i jego zawrotnej kariery. Ludzie nie mogli wyjść z podziwu, jak ktoś z nizin mógł odnieść tak ogromny sukces i wdrapać się niemal na sam szczyt.

- Czy nasze spotkanie wkrótce się zacznie? - zapytała oschłym tonem, starając się jednak zapanować nad swoimi emocjami.

Nie miała zamiaru pozwolić, by ktoś taki wyprowadził ją z równowagi. Ani tym bardziej tego okazać.

Mężczyzna niczym zawodowy koszykarz chwycił odbijającą się od asfaltu piłkę i podszedł do Sophy. Luźne dzinsy ledwie trzymały się na jego biodrach. Nie nosił paska; ujrzała rąbek jego bielizny. Nosi slipki czy bokserki? O, Boże, co za absurd! - zawołała po chwili w duchu, besztając się za tego typu myśli na poziomie licealistki przechodzącej burzę hormonów. Nie potrafiła jednak przestać na niego patrzeć. Ani grama tłuszczu, oceniła, omiatając wzorkiem jego nagi tors. Same mięśnie, idealna rzeźba ciała godna gladiatora. Jego spektakularna klatka piersiowa unosiła się i opadała; był lekko zdyszany po wysiłku fizycznym. Skórę pokrywała cienka warstwa potu, dzięki czemu jego ciało lśniło w słońcu niczym posąg z brązu.

Zrobił dwa kolejne kroki w kierunku Sophy i stanął blisko niej, górując nad nią jak olbrzym. Uniosła wreszcie wzrok. Dostrzegła, że Lorenzo cały czas ze zmrużonymi oczami obserwował, jak ona gapi się na jego boskie ciało. Wytrzymała jego spojrzenie, pilnując, by jej twarzy nie oblał palący rumieniec. Nagle mężczyzna przerwał kontakt

wzrokowy i zaczął niespiesznie i dokładnie oglądać całą jej postać. Sophy miała wrażenie, jakby jej dotykał; wyraźnie czuła jego spojrzenie na swojej szyi, dekolcie, piersiach.

Gniew powrócił z impetem. Miała mu za złe, że tak otwarcie i bezwstydnie przesuwając wzrokiem po każdym kawałku jej ciała. Pomyślała jednak, że sobie na to zasłużyła - przecież przed chwilą zrobiła mu dokładnie to samo! Z tą różnicą, że u niej nie było to celowe, obliczone na prowokację. Natomiast jego spojrzenie miało charakter demonstracyjnie seksualny. Miała ochotę skulić się, skurczyć i zniknąć. Jednocześnie czuła, jak w jej żyłach zaczyna krążyć płomienne irracjonalne pragnienie.

- To ty jesteś Sophy? - odezwał się wreszcie. - Straciłem poczucie czasu. - Wskazał głową na boisko.

Sophy uznała, że jeśli to miało być coś na kształt przeprosin, to kompletnie mu nie wyszło.

- Cenię swój czas - odrzekła wyniośle i z pretensją. - Nie lubię, kiedy ktoś mi go marnuje.

Jego spojrzenie znowu splotło się z jej spojrzeniem. Poczowała, jak pąsowieją jej policzki.

- Rozumiem - powiedział miękko, niskim tonem. - To się już nie powtórzy.

Błysk w jego oku oraz coś w jego głosie sprawiło, że Sophy miała wrażenie, jakby z jednej strony próbował ją uwieść, a z drugiej z niej drwił, cały czas powstrzymując szyderczy śmiech. Raz jeszcze całkowicie mimowolnie zerknęła na jego muskularny lśniący tors, po czym wbiła wzrok w asfalt.

- Nigdy wcześniej nie widziałas półnagiego mężczyzny oblanego potem? - zapytał ironicznym tonem.

Uderzyła ją fala gorąca. Próbowała wydusić z siebie jakąś odpowiedź. Bezskutecznie. Stała jak sparaliżowana. Mężczyzna odwrócił się i rzucił przez ramię:

- Chcesz zagrać jeden na jeden? Odkryłem, że to mi pomaga się skupić. Może tobie również pomoże.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nadal milcząc. Dlaczego zasugerował, że mam problemy z koncentracją? - zdziwiła się. To nie ja kazałam mu paradować bez koszulki!

- To pomaga również pozbyć się nadmiaru energii, która się kumuluje w naszych ciałach, nie znajdując innego, lepszego ujścia - dodał po kilku sekundach.

Wyczuła w jego komentarzu wyraźny podtekst seksualny. Bez wątpienia próbował wyprowadzić ją z równowagi. A przecież robił to bez użycia słów, samym swoim widokiem. Postanowiła dla zabawy przyjąć jego konwencję flirtu.

- Mam na sobie nadmiar odzieży. A to, jak wie każdy dorosły, w wielu sytuacjach krępuje ruchy - odcięła się.

- Łatwo można temu zaradzić. - Zerknął na nią z błyskiem w oku.

- Chcesz, żebym się rozebrała?

Zaśmiał się głośno. Na jego usta wstąpił rozbrajający, czarujący uśmiech. Jeszcze parę chwil temu był ponury i zamyślony, a teraz tryskał dobrym humorem. Sophy była pod wrażeniem tej raptownej metamorfozy.

- Nie miałbym nic przeciwko - mruknął zmysłowym głosem.

Zrobiła krok do tyłu, by się od niego odsunąć, wyjść z pola jego rażenia. Rozejrzała się dookoła. Jedna ze ścian była pokryta kolorowym, jaskrawym graffiti. Natłok kształtów i wzorów niemal wywołał u niej zawrót głowy. Dopiero po chwili w tym pozornym chaosie dostrzegła starannie namalowaną postać męską, stylizowaną na starożytną rzeźbę, a z boku jakiś wielki, nieczytelny napis.

Lorenzo, okręcając piłkę na palcu, podszedł do Sophy.

- To co, zagramy? W trakcie gry moglibyśmy uciąć sobie pogawędkę - zaproponował. Nadal się uśmiechał, lecz teraz jego ton był wyzywający.

Sophy nie miała zamiaru podjąć wyzwania. Nie zagra z nim, nie ma mowy. Gdyby była bohaterką filmu, jakiejś głupiej komedii romantycznej, trafiłaby do kosza już za pierwszym razem; w rzeczywistości nie tylko by spudłowała, ale nawet nie dorzuciłaby piłki do kosza. Kompromitacja na całej linii. Nie miała styczności z koszykówką od czasów szkolnych.

- Będzie chyba najlepiej, jeśli przesuniemy nasze spotkanie o, powiedzmy, kwadrans - oznajmiła, by położyć kres tej krępującej sytuacji. Po chwili dodała oziębłe: - Idź wziąć prysznic. Poczekam.

Lorenzo uniósł wysoko brwi.



- Naprawdę tak bardzo brzydzisz się potu? Przecież w pewnych sytuacjach jest to zupełnie naturalna rzecz. I nie mam na myśli tylko uprawiania... - zawiesił na chwilę głos - sportu.

Sophy milczała. Sama teraz miała wrażenie, że jej ciało paruje jak w saunie. Dlaczego Cara nie wspomniała, że jej szef jest tak diabelnie przystojny? Znowu przeniosła wzrok na graffiti, usiłując rozszyfrować kolorowe napisy, tylko po to, by odwrócić swoją uwagę od Lorenza.

- Cholerni wandale - powiedział, patrząc tam gdzie ona.

- Nie jest źle. Mogło być gorzej - rzuciła, głównie po to, by się z nim nie zgodzić.

- Myślisz?

- Tak. Mogli nabazgrać swoje inicjały albo napisać coś wulgarnego. Na tle innych, to graffiti jest całkiem... spoko.

Zaśmiał się, rozbawiony jej uwagą, ale jego śmiech przerodził się w kaszel. Z początku kaszlał cicho, lecz po chwili tak głośno i okropnie, jakby miał zaraz wykrztusić płuca. Gdyby to był ktokolwiek inny, Sophy zapytałaby, czy wszystko w porządku i czy nie potrzebuje pomocy. Nie miała jednak zamiaru spoufalać się z tym mężczyzną.

- Pewnie namalowanie tego było czasochłonne - skomentowała, kiedy Lorenzo powoli zaczął odzyskiwać oddech. - Szkoda jednak, że zrobili to akurat w tym miejscu, na terenie czyjejś posesji.

- Masz rację. - Czyżby usłyszała stłumiony chichot?

Spojrzała na niego, lecz jego twarz znowu była poważna i pochmurna.

- Słyszałam, że szukasz kogoś na stanowisko administratora biura? - zapytała, kierując rozmowę na właściwe tory.

- Tak. Kogoś, kto zajmie się wszystkimi ważnymi sprawami organizacyjnymi w mojej fundacji. - Ton jego głosu w ułamek sekundy stał się w pełni profesjonalny i rzeczowy. - Odkąd odeszła Cara, moja recepcjonistka, Kat nie jest w stanie wszystkiego w pojedynkę ogarnąć. W tej chwili mamy istne urwanie głowy. Potrzebujemy kogoś na co najmniej miesiąc. Kogoś, kto uprzątnie cały ten bałagan, a potem przeszkoli nowego pracownika. Przy okazji, nawet nie zdążyłem jeszcze dać ogłoszenia. Mogłabyś się tym za-

jąc któregoś dnia? Rzecz jasna, otrzymasz normalną pensję. Nie wyobrażam sobie, że ktoś chciałby odwalić taki kawał roboty w imię czystego altruizmu.

- Nie chcę zapłaty. Lubię pracować charytatywnie.

- Wykluczone! - zaprotestował stanowczo. - Zapłacę ci. Jeśli odczujesz taką potrzebę, wpłacisz te pieniądze z powrotem na konto naszej fundacji. Tak czy inaczej, otrzymasz taką samą pensję, jaką miała Cara.

Sophy nie potrzebowała pieniędzy. Jej fundusz powierniczy pozwalał jej żyć na przyzwoitym poziomie. Wystrzegала się jednak bycia pasożytem, który jedynie chodzi na zakupy i imprezy. Nie tak została wychowana. Wprawdzie jej rodzina była zamożna, lecz każdy z jej członków robił coś wartościowego i pożytecznego. Sophy wyłamała się z rodzinnej tradycji i nie poszła na prawo. Jej matka, brat i siostra zrobili karierę w adwokaturze. Co ważne, nie pracowali dla korporacji, lecz pomagali ludziom biednym i pokrzywdzonym. Jej ojciec był emerytowanym sędzią. Nadal jednak był aktywny, pisał książki i publikował artykuły w prasie, przeprowadzając dogłębną i czasem brutalną analizę wymiaru sprawiedliwości. Wszyscy członkowie rodziny Braithwaite odnieśli wielki sukces zawodowy.

Z wyjątkiem Sophy.

Usiłowała więc udowodnić swoją wartość w inny sposób. Mówiąc krótko, próbowała - choćby w minimalnym stopniu - ulepszyć świat. Łapała się każdej możliwej pracy charytatywnej, była zapaloną wolontariuszką, organizowała życie wszystkim członkom swojej rodziny. Posiadała nieprzeciętny zmysł praktyczny. W pewnym momencie poczuła jednak, że w tej codziennej bieganinie zgubiła gdzieś własne „ja”. Wyjechała z Nowej Zelandii. Zagranicą znalazła wreszcie swoją pasję, swoje powołanie. Teraz czuła w sobie wielką determinację, by zrealizować marzenie. Kiedy tylko wygospodaruje trochę wolnego czasu, rozkręci własny interes i udowodni rodzinie, że ma autentyczny talent!

- Gabinet Cary należy teraz do ciebie. Nie wiedziałem, że jej nieobecność niemal sparaliżuje pracę fundacji. Wszystko przez to, że w tej chwili zabrakło też Dani i Aleksa. Potrzebuję więc kogoś, kto w pełni poświęci się tej pracy.

- Masz na myśli pełny etat? - Sophy poczuła, jak jej serce tonie. Przecież miała wreszcie zająć się swoją pasją! Wiedziała jednak, że jak zwykle nie będzie w stanie wydusić z siebie słowa „nie”.

- Powiedzmy, że przez pierwszy tydzień, by trochę okiełznać ten chaos - odrzekł z uśmiechem, jakby zauważając jej niepokój. - Potem wystarczy, że będziesz siedzieć tu do południa. Potrzebuję jednak twojej obecności na wszystkich zebraniach, które będą miały miejsce wieczorami, oraz podczas wszelkich zbiórek. Nawiasem mówiąc, musisz opracować szczegóły naszej następnej imprezy.

Fundacja „Gwizdek” słynęła z organizowanych przez siebie zbiórek, czyli głównie wspaniałych balów i bankietów. Przyciągały one bogatych i sławnych, którzy przy tej okazji chętnie otwierali swoje portfele. Obecność śmietanki towarzyskiej gwarantowała również przybycie zastępów wielu innych, bardziej zwyczajnych ludzi; każdy przecież przez jedną noc chciał być VIP-em.

- A nie mógłbyś poszukać kogoś innego? - zapytała Sophy z nadzieją w głosie. - Może znajdziesz kogoś przez agencję pracy tymczasowej?

- Cara chciała, by jej zastępca był osobą zaufaną i kompetentną. Uważała, że pierwszy lepszy nie poradzi sobie na tym stanowisku. Nie chcę jej narażać na dodatkowy stres, a przecież wiesz, w jak trudnej sytuacji obecnie się znajduje. Wielokrotnie podkreślała, że tylko ty się sprawdzisz w tej pracy. Obiecałem jej, że zaryzykuję i dam ci szansę.

Wyczuła nutę sarkazmu w jego głosie. Czy on myśli, że nie podołam temu wyzwaniu? - pomyślała urażona. Poradzę sobie z tym wszystkim z zamkniętymi oczami! Cara nie musiała jej długo przekonywać, by tu przyszła. Siostra Sophy, Victoria, była jedną z najbliższych przyjaciółek Cary. Victoria porozmawiała z Carą i zapewniła ją, że Sophy jest idealną kandydatką, ponieważ dysponuje wolnym czasem i ma talent organizacyjny. Sophy jednak nie miała pojęcia, że Cara, po rozmowie z Victorią, nie chciała słyszeć o nikim innym, tylko o jej „wspaniałej, dobrej siostrze”!

Sophy zaczynało towarzyszyć wrażenie, że nigdy nie wyjeżdżała z Nowej Zelandii, nie oddalała się od rodziny i przyjaciół, którzy tak ochoczo i właściwie już całkiem odруchowo korzystali z jej pomocy. Od razu po przylocie wciągnęło ją życie, które zostawiła

za sobą dwa lata temu, a które zaczynało ją uwierać. Nadal nikomu nie przychodziło na myśl, że może mieć co innego na głowie. Nic dziwnego. Przecież całe życie jak katarzynka powtarzała jedno słowo: „tak”.

Powinna zatem teraz powiedzieć: „nie”! Przeprasić i wytłumaczyć, że ma inne ważne sprawy do załatwienia i nie może poświęcić tej pracy aż tyle czasu. Przeniosła wzrok na Lorenza. W jego oczach dostrzegła coś dziwnego: jakby niedowierzał temu, co usłyszał na jej temat od Cary, i czekał na odmowną odpowiedź. Tak, stał przed nią ze skrzyżowanymi rękami, z lekko pogardliwym uśmiechem, i spodziewał się, że Sophy stchórzy.

Pomyślała o Carze, czuwającej dzień i noc przy swoim malutkim dziecku, które nadal leżało w szpitalnym inkubatorze. Przysparzać jej teraz dodatkowych zmartwień byłoby czystym okrucieństwem. Cara bardzo się martwiła o swojego szefa. Zupełnie niepotrzebnie - Lorenzo Hall wydawał się odprężony i spokojny, grał sobie w koszykówkę zamiast wziąć się do roboty. Sophy postanowiła schować swoją niechęć do tego człowieka do kieszeni. Nie mogła zawieść ani Cary, ani swojej siostry.

- Przyjdę jutro, by rozpocząć pracę - oświadczyła stanowczo, niemalże bojowo.

- A jednak? - odparł po chwili, nieco zaskoczony. - Świetnie. Pokażę ci, na czym polega praca na twoim stanowisku.

- Stawię się w fundacji o dziewiątej rano. - Po raz ostatni omiotła wzrokiem jego nagi tors i posłała mu ostre spojrzenie. - Znowu nie spóźnię się nawet o sekundę. Proszę o punktualność.

Skinął głową. Sophy odwróciła się i znikła za drzwiami do budynku. W ostatniej chwili zdążyła jednak usłyszeć sarkastyczny głos swojego nowego szefa:

- Tak jest, psze pani.

Dziewiąta rano minęła już kilka minut temu. Sophy znowu siedziała w gabinecie, który nadal wyglądał tak, jakby przeszło przez niego tornado. Co pół minuty zerkała na zegarek. Niewiarygodne! - pomyślała. On znowu się spóźnia! Nic dziwnego, że to miejsce było w tak opłakanym stanie. Jeśli tak dalej pójdzie, fundacja upadnie.

Sophy przez pięć minut odkopywała klawiaturę komputera spod lawiny listów. Bardziej z chęci zabicia czasu niż zrobienia czegoś pożytecznego, postanowiła otworzyć

korespondencję i ją posortować. Zajęło jej to czterdzieści minut. W tym momencie zdecydowała, że wstrzyma wszelkie dalsze prace porządkowe, dopóki nie skonsultuje się z Hallem. Zeszła na dół do recepcjonistki.

- Masz na imię Kat, prawda? Ja mam na imię Sophy. Będę tu pracować jako administrator biura w zastępstwie za Careę. Czy wiesz, gdzie w tej chwili jest pan Hall?

Recepcjonistka zrobiła przerażoną minę.

- Och, myślałam, że jest z panią... to znaczy... z tobą! Nie odbiera telefonu, więc siedzę tu i przyjmuję wiadomości, które ludzie co chwila dla niego zostawiają.

- Czekam na niego już od godziny - poskarżyła się Sophy.

- A może jest z tyłu budynku?

Nie. Sophy oczywiście już kilka chwil po przybyciu wyjrzała przez okno na boisko, na którym nie było żywego ducha. Usłyszała, jak rozsuwają się drzwi wejściowe. Odwróciła się. Lorenzo? Nie. Do recepcji wszedł kurier z paczką pod pachą.

- Sophy, możesz sprawdzić, czy nie ma go na drugim piętrze? - zapytała Kat. - Ja muszę odebrać tę paczkę.

- Jasne - odparła odruchowo Sophy.

Współczuła dziewczynie, która dwoiła się i troiła, wyraźnie bardzo się przejmując swoją pracą.

Drugie piętro - czy to tu znajdował się gabinet Lorenza? Sophy najpierw weszła po schodach na pierwsze piętro i sprawdziła raz jeszcze dwa pozostałe pokoje. Były w znacznie lepszym stanie niż gabinet Cary. Widocznie ktoś do nich czasem zaglądał, choć teraz oba były puste. Na końcu korytarza znajdowała się większa sala, w której prawdopodobnie odbywały się zebrania, lecz teraz w niej również nikogo nie było. Czy w tym budynku pracują duchy, a nie ludzie? - pomyślała Sophy, zwiedzając widmowe biuro. Wreszcie wspięła się na drugie piętro. Nie było na nim nawet żadnego korytarza, tylko jedne jedyne drzwi z napisem: „prywatne”.

Zapukała. Cisza. Zapukała ponownie. Nadal nic. Nacisnęła klamkę. Drzwi się uchylły. Weszła do środka.

Pomieszczenie było ogromne i jasne. Słońce wpadało przez przeszklone okna w suficie. To nie był gabinet. To był nowoczesny, luksusowy loft - apartament Lorenza?

Owszem. Ujrzała go rozłożonego na sofie.

- Co się dzieje? - zapytała ostrym tonem, podchodząc bliżej. - Czekałam na ciebie przez godzinę, a ty...

Urwała, Dostrzegła, że znowu jest rozebrany. Z trudem oderwała wzrok od jego muskularnej klatki piersiowej i spojrzała na jego twarz. Miał podkrążone oczy i bladą twarz. Jeśli to kac, to zaraz urządzę mu scenę, pomyślała, czując przyływ gniewu.

- Boli mnie gardło - wychrypiał ledwie słyszalnie.

Przyjrzała mu się dokładniej. Rzeczywiście, był chory, a nie umęczony po upojnej nocy. Wyglądał okropnie, choć nadal imponująco. Raz jeszcze rzuciła okiem na jego tors. Nie mogła się powstrzymać. Ten mężczyzna był właścicielem najbardziej imponującego ciała, jakie w życiu widziała. Miał na sobie bokserki. Wyłącznie bokserki. Na domiar złego nie luźne, bawełniane, tylko ciasno opinające jego biodra i umięśnione uda, oraz - przełknęła ślinę - uwypuklające jego męskość. Sophy zamknęła oczy, wzięła się w garść i postanowiła dostrzec w nim chorego, a nie obiekt pożądania.

- Masz gorączkę - zdiagnozowała po chwili, dostrzegłszy kropelki potu na jego czole.

Przeszła do kuchni, która znajdowała się w specjalnie wydzielonym kącie przestrzennego loftu. Nalała wody do szklanki. Miała ochotę sama się napić, lecz nie było na to czasu; Lorenzo wyglądał naprawdę fatalnie.

- Nie przejmuj się - powiedział żałośnie. - Wszystko w porządku. - Znowu zaniósł się bardzo brzydkim kaszlem.

- Och, tak, oczywiście - odparła z ironią.

Podawała mu szklankę. Wziął ją drżącą dłonią. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały. W jego oczach Sophy ujrzała złość. Był wściekły, że jest chory i niedysponowany.

- Wszystko w porządku - powtórzył, cedząc tym razem przez zęby.

Jego potężne ciało dygotało. Upił jedynie mały łyk wody, po czym odstawił szklankę na stolik przy sofie, na którym spoczywał również włączony laptop. Naprawdę się łudził, że będzie w stanie dziś pracować?

- Kiedy ostatnio jadłeś?

Nie odpowiedział. Skrzywił się jedynie, jakby myśl o jedzeniu wydawała mu się w tej chwili wyjątkowo odrażająca.

- Muszę ci zmierzyć temperaturę.

- Diabli cię zesłali...

Zignorowała jego gderanie. Ostrożnie położyła dłoń na jego czole. Natychmiast odsunął się w kąt sofy.

- Przestań - burknął szorstko.

Na opuszkach palców nadal czuła jego ciepło.

- Płoniesz. Musi cię obejrzeć lekarz.

- Bzdura.

- Bez dyskusji. - Wyłowiła z kieszeni telefon komórkowy i otworzyła klapkę. - Dzwonię po doktora.

- Nawet się nie waż! - zaoponował z ogniem, lecz jego głos załamał się w pół zdania. Spróbował się poruszyć, by wstać, ale przez jego twarz przebiegł grymas bólu. - Sophy, zostaw mnie w spokoju. Nic mi nie jest. Mam mnóstwo pracy.

Puściła mimo uszu jego protesty. Porozmawiała telefonicznie z recepcjonistką kliniki, do której chodziła od dziecka. Po dwóch minutach zakończyła rozmowę.

- Za kwadrans zjawi się lekarz.

- Szkoda. Nie będę mógł się z nim zobaczyć. Muszę załatwić...

- Praca poczeka - przerwała mu i jednym szybkim ruchem zamknęła jego laptop, po czym przeniosła go na blat kuchenny, poza zasięg Lorenza.

- Przynieś go z powrotem! Pracowałem...

Spojrzała na niego z góry, kręcąc głową z politowaniem.

- Żałuję, że nie mam jednego z tych staroświeckich termometrów rtęciowych. Wiesz, gdzie się je wtyka, aby pomiar był najdokładniejszy?

- Rany boskie, zlituj się! - Wyciągnął rękę i chwycił ją mocno za nadgarstek. - Masz rację. Czuję się paskudnie. Jeśli jednak nadal będziesz mnie prowokować, to zaraz puszczą mi nerwy. Nie rękę za siebie...

Doprawdy? I co mi zrobisz? - pomyślała bez lęku. Spoglądała w jego ciemne oczy. Ujrzała w nich zmęczenie, stres oraz frustrację. A jeszcze głębiej dostrzegła coś innego - cierpienie. Postanowiła spojrzeć na niego nieco łaskawszym okiem.

- W porządku - westchnęła. - Pod warunkiem że ty też przestaniesz ze mną walczyć. Jesteś chory. Musi cię zbadać doktor. Musisz się leczyć.

Leżał milczący i ponury jak chmura gradowa.

- Nic na to nie poradzisz, Lorenzo. Lepiej pogódź się z tym, że choroba nie odejdzie tylko dlatego, że ty tak jej rozkażesz.

Wciągnął gwałtownie powietrze. Sophy zauważyła, że jest to teraz dla niego nie lada wysiłek. Spróbował dźwignąć się na łokciu, lecz runął z powrotem na plecy. Zamknął oczy i zaklął pod nosem. Sophy wiedziała, że wygrała.

- Niech ci będzie - poddał się wreszcie. - Możesz już odejść. Kat przyprowadzi tu lekarza, kiedy się zjawi.

Znowu wstrząsnął nim dreszcz. Sophy nie mogła zostawić go w takim stanie. Wbrew pozorom, ten potężny mężczyzna potrafił się przeziębic tak samo jak inni ludzie. Poza tym nie miał nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować.

Otworzył oczy i potrząsnął głową. Znowu wyglądał na rozdrażnionego.

- Przynajmniej oddaj mi laptop - zażądał szorstkim tonem.

- W jakim celu? Uwierz mi, gapienie się w ekran cię nie uzdrowi. Wprost przeciwnie. Powinieneś teraz jak najwięcej spać. Później nadrobisz zaległości w pracy.

Jego głowa opadła na piramidę poduszek ułożonych w rogu sofy. Sophy wygrała kolejną rundę.

Wreszcie zjawił się lekarz. Wizyta trwała zaledwie dziesięć minut. Sophy czekała na schodach, wykonała w międzyczasie kilka telefonów. Kiedy lekarz wyszedł, zamieniła z nim kilka słów, po czym wróciła do apartamentu, do wciąż nachmurzonego pacjenta.

- Przyniosę ci koc - powiedziała i ruszyła w stronę drzwi jego sypialni.

- Koc leży tutaj, obok sofy.

Zatrzymała się. Ach, tak, nie zauważyłam, pomyślała, nieco zmieszana. Trudno cokolwiek zauważyć w tym pokoju, kiedy on tu leży niemalże nagi! Podnosząc z ziemi koc, starała się omijać Lorenza wzrokiem.



- Przykryj się tym, bo jeszcze bardziej się rozchorujesz.

Ułożył się wygodniej i narzucił sobie na nogi koc.

- Tak lepiej, siostrze? - zapytał z ironią.

Ewidentnie Lorenzo czuł się trochę lepiej. Lekarz podał mu jakieś środki przeciwbólowe, które szybko zadziałały.

- Lekarz powiedział, że to angina. Zgadza się?

- Idiotyczna sprawa, prawda? - odparł stropiony.

Wcale nie. Sophy wiedziała, jak dokuczliwe może być zapalenie gardła.

- Chorowałeś w dzieciństwie na zapalenie migdałków?

- Tak, czasami - potwierdził. - Ale od lat tego nie miałem.

- Skoro zdarzało ci się chorować na anginę, to dlaczego nie zrobili ci operacji? - zdziwiła się. Wiedziała, że w przypadku nawrotów choroby lekarze stosują chirurgiczne usunięcie migdałków.

- Przez jakiś czas byłem na liście oczekujących. Ale sprawa jakoś się rozeszła po kościach. Kiedy poszedłem do szkoły z internatem, anginy przestały mi dokuczać.

Sophy naląła do szklanki płyn elektrolitowy, który zostawił lekarz.

- To była dobra szkoła?

- Lepsza niż wszystkie inne, do których miałem zaszczyt uczęszczać - rzekł z przekąsem.

Wiedziała, że Lorenzo chodził do szkoły z Alekssem Carlisle'em - człowiekiem, z którym założył tę fundację. Absolwentem tej samej placówki, wiele lat wcześniej, był również starszy brat Sophy. Szkoła była prywatna, ekskluzywna, na bardzo wysokim poziomie. Trafiali do niej najlepsi uczniowie. Sophy wiedziała, że Lorenzo miał świetne wyniki w nauce, ponieważ jej siostra uczyła się w tym samym budynku, w skrzydle dla dziewcząt. Sophy rodzice nie wysłali do tej szkoły - tłumaczyli, że nie chcą jej skazywać na życie w obcym miejscu, z dala od domu. Wiedziała jednak, że co innego stało za tą decyzją - miała zbyt słabe oceny. Nie słabe same w sobie, wprost przeciwnie, bardzo dobre, ale jednak gorsze niż stopnie, które przynosiło do domu jej genialne rodzeństwo.

- Antybiotyki szybko zaczną działać. A potem, moim zdaniem, powinieneś wziąć urlop.

Uniósł brwi, zdumiony jej sugestią.

- Cara wspominała, że się zaharowujesz. Może po prostu rozładowały ci się akumulatory i spadła odporność twojego organizmu. - Dostrzegła na twarzy Lorenza błyskawicznie rosnące oburzenie.

- Kochanie, mylisz się, i to bardzo - warknął. - Jestem w świetnej formie! - Aby to zademonstrować, uniósł ramiona i napiął swe imponujące mięśnie.

Tak, ewidentnie czuł się już lepiej. Sophy nie mogła sobie jednak odmówić przyjemności droczenia się z nim.

- Mięśnie całkiem, całkiem - rzuciła beznamiętnym tonem, który sporo ją kosztował - ale nawet nie miałbyś siły ustać na nogach. Nie mówiąc już o... wysiłku innego rodzaju - dodała z czytelną aluzją.

- Podejdź bliżej, a udowodnię ci, że jesteś w błędzie.

Odwróciła się i odeszła kilka kroków od sofy. Postanowiła przerwać tę szermierkę słowną; nie była tak dobra w tego typu flirtowaniu jak jej przyjaciółka, Rosanna.

- Nie mam ochoty na kolejne rozczarowanie - westchnęła.

- Byłaś zawiedziona, że nie stawiłem się dziś rano na spotkanie? - podjął natychmiast Lorenzo.

Odwróciła się znowu i dostrzegła jego rozbawiony, zadowolony z siebie wyraz twarzy.

- Nie trać sił na gadanie głupot. Dopij lekarstwo.

Przeszył ją spojrzeniem ostrym jak brzytwa.

- Nie potrzebuję, żebyś mi matkowała - wycodził.

- Wiem. Ale potrzebujesz pielęgniarki. Dzwoniłam już do kliniki. Pielęgniarka niedługo do ciebie przyjedzie.

Lorenzo był tak zaszokowany, że na kilka długich chwil oniemiał. Kilkakrotnie odtworzył w myślach jej słowa. Nadal nie mógł uwierzyć, że Sophy naprawdę powiedziała to zdanie.

- Co zrobiłaś?! - Czuł, że zaraz eksploduje.

- Załatwiłam ci pielęgniarkę, Lorenzo. Ja mam mnóstwo pracy na głowie, tak samo jak Kat, a w takim stanie nie można cię zostawić bez nadzoru.

Całe życie byłem sam i doskonale dawałem sobie radę! - pomyślał.

- Powiedz pielęgniarce, że obejdę się bez jej pomocy.

- Wykluczone. Już za późno. - Podeszła do stolika i zabrała pustą szklanę. - Jest już w drodze.

- Na pewno ma przy sobie komórkę. Zadzwoń do niej. Natychmiast - rozkazał, czując jednocześnie, jak znowu zaczyna go trawić piekielna gorączka.

- Nie wygłupiaj się, Lorenzo - ucięła chłodno. - Potrzebujesz pielęgniarki. Koniec, kropka.

Zgromił ją wzorkiem. Nigdy w życiu nie czuł takiej frustracji. Podobnie jak od dziecka - odkąd tułał się z miejsca na miejsce - nie czuł się tak bezużyteczny.

Zamknął oczy, znokautowany przez falę nagłego zmęczenia. No, dobrze, rzeczywiście harował jak wół, ostatnio nawet ciężiej niż zwykle. Napędzał go głód sukcesu. Zawsze prześladował go lęk, że pewnego ranka obudzi się i odkryje, że wszystko stracił, został z niczym. Zatem zaprzęgał się do wręcz nieludzkiej pracy, rozbudowując swoją firmę, gromadząc jeszcze większą fortunę. Nie widział końca tego wysiłku.

Zainwestowanie w bar Vance'a, czyli kolejne jego biznesowe przedsięwzięcie, być może było jednak złym pomysłem. W ubiegłym tygodniu odesłał tam wszystkich swoich pracowników, którzy pomagali mu przygotować się do wielkiego dnia otwarcia nowego lokalu. To właśnie dlatego jego biura były ostatnio zaniedbane, w szczególności siedziba fundacji „Gwizdek”. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Lorenzo pracował niemal przez okrągłą dobę. Wiedział, że gabinet Cary jest w opłakanym stanie, a fundacja nie prezentuje się dobrze. Co więcej, wstydził się tego. Wstydził się tego przed Sophy. Dlaczego? Nie był w stanie tego ustalić. Wiedział jedno: pojawienie się Sophy wyprowadziło go z równowagi. Spodziewał się jakiejś zwykłej, przezroczystej dziewczyny, a nie kogoś... takiego. Jak to możliwe, że ona mi się podoba? - dziwił się, zdezorientowany. Przecież ona jest taka irytująca! Ten jej pedantyzm i perfekcjonizm. Czy kiedykolwiek w życiu popełniła jakiś błąd? Spóźniła się na spotkanie, zgubiła klucze od domu, upiła się na imprezie? Nie, podejrzewał, że nic takiego się jej nie przytrafiło. Przypominała mu robota, a nie człowieka. Idealnie działający mechanizm, jak szwajcarski zegarek.

Sophy Braithwaite była nieludzko idealna. Och, tak, idealna... - rozmarzył się. Wyglądała jak porcelanowa lalka. Nieskazitelna kremowa skóra, kręcone blond włosy. Ile czasu codziennie spędza nad swoją perfekcyjną fryzurą? Miała mały zadarty nosek i lekko wydęte pełne usta, które prosiły się o to, by je pocałować. Wielkie niebieskie oczy, które powiększały się jeszcze bardziej, gdy na niego spoglądała; dostrzegał w nich osobliwą mieszankę ciekawości i rezerwy. W jednej chwili z nim flirtowała, a w następnej biła od niej obojętność lub oziębłość. Tym bardziej myśl o niej nie dawała mu spokoju. Przeklinał chorobę, która się do niego przypałała, ponieważ odkąd do jego mieszkania weszła Sophy, miał ochotę ją złapać, rozebrać do naga i sprawdzić, czy iskiereki w jej oczach rzeczywiście są odbiciem ognia, który płonie w jej wnętrzu.

Teraz jednak był bezradny i bezsilny. Cholerna gorączka! To pewnie przez nią natchodzą mnie te niedorzeczne myśli... Spojrzał na Sophy. Znowu rozmawiała przez telefon tym swoim rzeczowym tonem, wypowiadając słowa z prędkością karabinu maszynowego. Nawet nie chciało mu się podsłuchiwać. Chciał jedynie wyrwać jej z dłoni komórkę i zamknąć jej usta gorącym, głębokim pocałunkiem. Nie była w jego typie, a mimo to od momentu, kiedy spoczął na niej jego wzrok, na podwórku podczas gry w kosza, miał ochotę jej dotknąć. Nigdy w życiu nie czuł tak palącego pożądania na widok żadnej kobiety.

- Dobrze, wszystko już załatwiłam - oznajmiła.

- Wychodzisz? - Skrzywił się. Tonem zdradził się ze swoim rozczarowaniem.

Przyglądała mu się przez chwilę badawczo.

- Chyba nie myślałeś, że tu zostanę? Mam masę rzeczy na głowie. Zresztą sam powiedziałeś, że nie potrzebujesz ani niańki, ani współczucia.

- Chcesz mnie tu zostawić sam na sam z jakąś obcą osobą? - oburzył się.

Nie chciał tracić z oczu Sophy. Nie przestawał fantazjować o jej ciele. O rozkoszy, którą by jej dał. Dawkowałby ją bardzo powoli, tak by ta do bólu pragmatyczna i porządnicka kobieta wreszcie na chwilę straciła nad sobą panowanie, zburzyła sobie fryzurę, rozmazała szminkę. Chyba zaraz zaczną się ślinić na jej widok, pomyślał z irytacją i wbił wzrok w koc.

Zmienił zdanie. Im szybciej Sophy wyjdzie, tym lepiej.

- Pielęgniarka jest wykwalifikowana i ma świetne referencje - poinformowała go Sophy, nieświadoma jego gorączkowych, grzesznych myśli. - Fachowo się tobą zaopiekuje.

- Nie potrzebuję przeklętej pielęgniarki! Połknę pigułki i pójdę spać. Nie chcę, żeby jakaś nieznajoma kobieta kręciła się po moim domu, kiedy będę nieprzytomny. - Nigdy nie pozwalał żadnej kobiecie krzątać się po jego mieszkaniu. Nade wszystko cenił sobie prywatność i święty spokój.

- Masz wysoką temperaturę. Dopóki nie spadnie i dopóki nie zaczną działać antybiotyki, ktoś musi nad tobą czuwać - wyjaśniła cierpliwie. - To potrwa tylko jeden dzień, Lorenzo. Przestań ciągle jęczeć i zachowywać się jak dziecko.

Otworzył usta, lecz po chwili je zamknął. Od lat nikt mu nie rozkazywał!

- A teraz musisz odpocząć. Pielęgniarka przybędzie za dwadzieścia minut. Ma przy sobie niezbędne leki.

Nie miał zamiaru dłużej tego znosić. Postawił stopę na podłodze i dźwignął się do pozycji siedzącej.

- Lorenzo! - Sophy niezwłocznie do niego podbiegła.

Zacisnął powieki. Jego nagle pobladłą twarz wykrzywił grymas bólu. Całe ciało pokrywała teraz warstwa potu; znowu wstrząsnął nim dreszcz. Sophy objęła go ramieniem. Poczwała, że każdy jego mięsień jest napięty. Przygryzła dolną wargę. Modliła się w duchu, by pielęgniarka dotarła tu jak najszybciej.

- Naprawdę nic mi nie jest - stęknął z trudem.

Był wściekły na siebie i na nią. A przede wszystkim na swoje nagłe osłabienie.

- A ja jestem królową Atlantydy - odrzekła Sophy z sarkazmem.

- Niedorzeczna dziecinada! - syknął. - Nie jestem konający. To tylko głupie, chore gardło. - Mimo to położył się z powrotem na sofie, drżąc pod kocem.

Sophy postanowiła poczekać na przybycie pielęgniarki. Usiadła na krześle naprzeciwko sofie. Z ciekawości omiotła spojrzeniem mieszkanie. Było wspaniałe - przestronne i widne, jakby w połowie składające się ze światła i nieba. Kąt kuchenny był urządzone szalenie nowocześnie, wszystko było ze stali i szkła. Na jednej ze ścian zamontowany był ogromny ekran będący częścią kina domowego, a obok, od podłogi do sufitu na pół-

kach ustawione były książki, płyty CD i DVD. Sophy powiodła wzrokiem po okładkach, czytając tytuły.

Zaspokoiwszy swoją ciekawość co do gustu właściciela loftu, zerknęła na zegarek. Niedługo przyjdzie pielęgniarka. Lorenzo leżał w bezruchu i milczeniu. Zasnął? Nachyliła się ku niemu, by zobaczyć jego twarz. Jego czarne jak smoła włosy były nieco zbyt długie, jakby opuścił ostatnią wizytę u fryzjera. Wskutek gorączki były teraz dodatkowo zmierzwione i wilgotne. Mimo to tak gęste i lśniące, że chciało się ich dotknąć, zatopić w nich palce. Rysy twarzy miał piękne, jakby były dziełem jakiegoś starożytnego rzeźbiarza. Rzęsy tak długie, że pozazdrościć mu ich mogła niemal każda kobieta. Sophy najbardziej jednak podobały się jego usta: pełne, lekko zakrzywione w górę, a teraz odrobinię rozwarte. Przestał już drżeć. Może temperatura wreszcie spadła? Położyła rękę na jego czole. W okamgnieniu chwycił jej dłoń. Jego długie mocne palce zakleszczyły się na jej delikatnym nadgarstku. Otworzył oczy. Były teraz nie brązowe, lecz czarne. Dostrzegła w nich płomień, który, jak podejrzewała, chyba tylko po części miał coś wspólnego z gorączką.

Nie mogła się ruszyć.

Wwiercił w nią rozognione spojrzenie.

- Powiedziałem ci, żebyś dała mi spokój.

Nie odtrącił jednak jej dłoni. Przeciwnie, jeszcze mocniej przycisnął jej palce do swojej skóry. Sophy, ku swojemu zdumieniu, łagodnie pogłaskała jego rozpalone, zmarszczone czoło, a potem uniosła dłoń wyżej, by dotknąć jego kręconych włosów. Nie wiedziała, że dotykaniu kogoś mogą towarzyszyć tak intensywne emocje. Miała wrażenie, jakby przez jej ciało przebiegał prąd. Z drugiej strony, dotykanie go przynosiło jej ukojenie. To było wspaniałe uczucie. Poczwała erotyczną energię, która zaczęła w niej narastać niczym dzika fala. Chciała głaskać i gładzić jego ciało, położyć się obok niego, zaspokoić głód, który nagle pojawił się głęboko w jej wnętrzu.

Lorenzo nie spuszczał z niej wzroku. Jego spojrzenie było przepelnione... czym? Trudno było to zidentyfikować. Złość, żądza, a może coś bardziej mrocznego i głębszego? Rozległ się dzwonek.

Jeszcze mocniej zacisnął palce na jej nadgarstku. Sophy aż się skrzywiła z bólu.

- To pewnie pielęgniarka - mruknęła.

Pomimo choroby Lorenzo nadal dysponował wielką siłą.

Sophy wreszcie oderwała wzrok od jego hipnotycznych oczu i wskazała na jego zaciśniętą rękę.

- Musisz mnie puścić. Proszę.

Poluzował palce. Sophy uwolniła dłoń. Jej serce nadal biło jak oszalałe, niemal przyprawiając ją o zawroty głowy. Zrobiło jej się słabo. Może on wcale nie ma anginy? - pomyślała. Może to grypa i zdążyłam. się już od niego zarazić? Miała wrażenie, że jej skóra płonie pod ubraniem.

Idąc do drzwi, dostrzegła swoje odbicie w lustrze. Na twarzy miała dwa płomienne rumieńce. Oczy niezdrowo powiększone, dziwnie zamglone.

Do mieszkania wkroczyła pielęgniarka. Miała co najmniej pięćdziesiąt lat i wyglądała jak typowa babcia: grube okulary, wełniany sweterek na guziki oraz druty i włóczka wystające z torebki. Była miła, ciepła i troskliwa. Sophy uśmiechnęła się z ulgą, kiedy kobieta przejęła pieczę nad chorym. To był idealny moment, by się ulotnić.

- Zadzwoń później do pani - powiedziała do pielęgniarki.

- A nie będziesz chciała porozmawiać ze mną? - rzekł z pretensją Lorenzo.

- Przecież będziesz spał.

Znowu wstrząsnął nim dreszcz. Do akcji wkroczyła jego nowa opiekunka.

- Musimy zapakować pana do łóżka. - Miała łagodny, lecz stanowczy głos. - Pójdę i położę świeże prześcieradło. Nie, bez obaw, sama wszystko znajdę. Niech pan leży i odpoczywa. Zaraz damy panu lekarstwa, środki przeciwbólowe i coś ciepłego do picia. Wkrótce będzie pan zdrowy jak ryba.

Sophy obserwowała pielęgniarkę, która najwidoczniej była obdarzona jakimś szóstym zmysłem, ponieważ poruszała się po mieszkaniu Lorenza, jakby je znała na wylot. Właściciel lokum patrzył na kobietę z tak skrajną, nieskrywaną niechęcią, że Sophy musiała zatkać dłonią usta, by stłumić wybuch śmiechu. Nagle poczuła na sobie jego gromiący wzrok.

- Dobrze, już sobie idę - oświadczyła, odzyskując powagę.

- Najpierw podejdź tu do mnie. - To był rozkaz, mimo że słowa zostały wypowiedziane dziwnie łagodnym głosem. Jego intensywny magnetyzm był niczym hipnotyczna moc. - Śmiało. Podejdź.

Zrobiła, jak kazał. Zatrzymała się krok od sofy. Spojrzała nie bez lęku w jego ciemne oczy.

- Chcę ci podziękować - oznajmił półgłosem.

- To niepotrzebne. - Poczowała, jak oblewa się rumieńcem.

Pomaganie innym to jej specjalność. Pomagała organizować życie swojej rodzinie, czyli grupce geniuszy, którzy nie potrafili nawet przygotować sobie obiadu. W porównaniu ze wszystkimi obowiązkami, które brała na siebie, wezwanie lekarza, a potem pielęgniarki, to kaszka z mlekiem.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby chciał odczytać jej myśli. Po chwili utkwiał wzrok w jej ustach, które zaczęły nagle drżeć. Oblizwała wargi. Marzyła o tym, aby napić się wody z lodem. W uszach słyszała łomot serca.

- Całuję cię... Czy czujesz to?

Zamrugła, zaszokowana. Czy on naprawdę to powiedział? Wypowiedział te zdumiewające słowa swoim zmysłowym szeptem?

Jakkolwiek wydawałoby się to absurdalne - tak, czuła to. Czuła to mrowienie w wargach, dziwne ciepło; jego wzrok był niczym dotyk. Pragnęła więcej. Znowu zupełnie bezwiednie oblizwała usta. Marzyła o jego prawdziwym dotyku i prawdziwym pocałunku.

Na twarzy Lorenza nagle pojawił się uśmiech. Ten wspaniały uśmiech, którym wczoraj na boisku zupełnie ją rozbroił. Wciągnęła gwałtownie powietrze. Było jej tak gorąco, że miała wrażenie, że skóra zaraz stanie w płomieniach. Nie mogła tego dłużej znieść! Czuła, jak narasta w niej panika. Jeszcze chwila, a straci nad sobą panowanie i zrobi coś naprawdę głupiego.

- Trzymaj się i zdrowiej - rzuciła pospiesznie i wybiegła, słysząc za plecami gardłowy śmiech Lorenza.

Ilekcóż pomyślała o wyrazie jego twarzy w tamtym momencie, miała wrażenie, że rumieniec oblewa nie tylko jej policzki, ale również całe ciało. Nie bez tremy trzy dni później wchodziła schodami na drugie piętro. Kat poinformowała ją, że Lorenzo już



wrócił do formy i czeka na nią u siebie. Podobno chciał, by zaszła do niego w pierwszej kolejności, zanim zajmie się czymkolwiek innym.

Sophy przeczuwała, że spotkanie może mieć nieprzyjemny przebieg. Wiedziała, że Lorenzo był na nią wściekły za to, że widziała go w takim stanie: osłabionego, bezsilnego. Zapewne sądził, że choroba, zwłaszcza taka jak zapalenie gardła, jest mało męska. Lubił rządzić, wydawać rozkazy, być szefem. Ona jednak okazała mu nieposłuszeństwo; bez jego zgody załatwiła mu fachową opiekę. Teraz podejrzewała, że każe jej za to zapłacić. Pytanie brzmiało: w jaki sposób? Przypuści na nią ostry, werbalny atak? Zwolni ją z pracy? A może zacznie sobie uzurpować prawo do jej ciała? Na myśl o tym ostatnim aż zadrżała. Lorenzo Hall miał reputację playboya bez serca... Z drugiej strony, tak piekielnie ją pociągał! Przerwała te dywagacje, wzięła głęboki wdech i zapukała do drzwi.

- Moment.

Czekała. Z każdą sekundą jej napięcie nerwowe przybierało na sile. Dlaczego kazał jej czekać? Chciał ją na dobry początek wyprowadzić z równowagi?

- Możesz już wejść.

Pchnęła drzwi i... nagle zamarła. Patrzyła przed siebie z lekko otwartymi ustami. Stał przy oknie. Miał na sobie dżinsy; od pasa w górę był znowu nagi. Zza pleców oświetlało go słońce, sprawiając, że jego ciało otaczał świetlisty, złoty nimb. Wyglądał bosko. W tym przypadku - niemalże dosłownie. Sophy w całym ciele poczuła falę gorąca, która przez kilka długich chwil uniemożliwiła jej oddychanie. Nadal się w niego wpatrywała jak zaczarowana. Jego muskularny tors był jak wykuty z brązu. Tym razem nie lśnił od potu. Sophy przyznała w duchu, że tęskni za tamtym widokiem. Poczuła mrowienie w opuszkach palców. Miała ochotę poznać to ciało wszystkimi swoimi zmysłami.

Zamknęła oczy, skonsternowana. Od kiedy snuję na jawie erotyczne fantazje o nieznanym mężczyźnie? - zapytała siebie w myślach. Winą za to wszystko obarczała jego fizyczne piękno. Stojąc nieruchomo, obserwowała, jak Lorenzo powoli do niej podchodzi, zakrada się niczym potężny drapieżnik do swojej ofiary.

Już teraz żałowała, że tu weszła.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Dudnienie jej serca było niemal ogłuszające.

Uśmiechnął się, jakby coś w jej zachowaniu go rozbawiło. Może jej widoczny gołym okiem strach i zdenerwowanie?

- Chciałeś się ze mną widzieć - odezwała się, a raczej pisnęła żałośnie przez ściśnięte gardło.

- Ty też - odparł natychmiast aksamitnym głosem.

W jego ciemnych oczach tańczyły złowieszcze płomyki.

Czy naprawdę tęskniła za jego widokiem? Tak, przyznała w duchu, choć była to bardzo niewygodna myśl. Zazdrościła mu w tej chwili spokoju i opanowania. Widać było, że ten mężczyzna czuje się doskonale w swojej skórze. Emanował pewnością siebie graniczącą z arogancją. Zdawał sobie sprawę z tego, że działa na kobiety, a Sophy nie jest wyjątkiem.

- Ewidentnie czujesz się już lepiej - zauważyła lekko drżącym głosem.

- O niebo lepiej.

- Świetnie. - Zrobiła krok do tyłu, wychodząc na korytarz. - Wobec tego powinienś zobaczyć, jak sobie radzę z porządkowaniem korespondencji.

- Już sprawdziłem. Twoją pracę oceniam pozytywnie. System, który wprowadziłaś, jest jasny i przejrzysty.

- Ach. - Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

- Musimy jednak przedyskutować zbliżającą się wielkimi krokami zbiórkę charytatywną. - Wyszedł za nią na korytarz. - Muszę ci także podyktować kilka informacji, które trzeba umieścić na naszej stronie internetowej. Rozumiem, że Kat w wolnych chwilach ci pomaga?

- Tak. To świetna dziewczyna. - Sophy z całych sił starała się koncentrować na rozmowie, lecz wzrok, jakby przyciągany magnesem, co chwila ześlizgiwał się w dół, na jego umięśniony brzuch.

- Dzisiaj wraca do nas reszta mojej ekipy. Skończyli właśnie pracę przy moim innym projekcie.

- Masz na myśli bar? - Kat zdradziła jej szczegóły najnowszej inwestycji szefa. Lorenzo wyłożył pieniądze na nowo powstały bar w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Auckland.

- Zgadza się. - Ton jego głosu był poważny, lecz jego oczy nadal były odrobinę rozbawione i uwodzicielskie. - Przejdziemy do twojego gabinetu, żeby kontynuować tę rozmowę?

Nic z tego. Nie potrafiła prowadzić poważnej rozmowy w takich warunkach.

- Czy możesz łaskawie włożyć koszulę? - zapytała wprost.

Zachichotał pod nosem.

- Przeszkadza ci ten widok?

Tak. Nie. Tak. Och, dlaczego on się tak nade mną znęca? - pomyślała poirytowana.

- Powiedzmy, że jest... niestosowny.

- Bardziej niestosowny niż to, co ty zrobiłaś? Wtargnęłaś do mojego mieszkania i ściągnęłaś mi na głowę pielęgniarkę.

Sophy uśmiechnęła się z satysfakcją. Powróciła jej pewność siebie.

- Tak bardzo zabolął cię fakt, że widziałam cię w kiepskim stanie? Czy twoja męska duma została zraniona? - Nie mogła i nie chciała powstrzymać potoku słów. - To dlatego teraz demonstrujesz swoje mięśnie? Urządzasz manifestację samczej siły?

Zrobił krok w jej kierunku. Odruchowo cofnęła się i wpadła plecami na ścianę w korytarzu. Podszedł do niej, uniemożliwiając jej ucieczkę. Sophy uniosła głowę. W środku czuła zdenerwowanie oraz dziwną ekscytację.

W jego oczach tańczyły złowieszcze iskry.

- Ja chyba nie muszę niczego udowadniać - wycedził. - W przeciwieństwie do ciebie.

- Doprawdy? Co miałabym niby udowodnić? Że twój widok nie wprawia mnie w zakłopotanie? - Miała wrażenie, że nagle znaleźli się na szczycie wysokiej góry. Miała trudności z oddychaniem, czuła zawroty głowy, jej głos był cienki i słaby.

- A wprawia?

- Oczywiście, że tak...

Uniósł brwi. Najwyraźniej nie spodziewał się po niej szczerości.

- Ciągłe paradujesz półnagi, jakbyś nie miał w garderobie ani jednej koszuli - wyjaśniła. - Przeszkadza mi niestosowność i niedorzeczność tego zachowania. A nie widok twojego ciała - skłamała w samoobronie.

Nie skomentował jej słów. Uśmiechnął się tylko, obnażając białe jak śnieg zęby. Bawił się z nią jak kot z myszką. Sophy zdecydowała, że musi skonsultować się z Rosanną, profesjonalistką w dziedzinie relacji damsko-męskich. Nie chciała bowiem dopuścić do tego, by Lorenzo Hall z taką łatwością ją upolował. Nie chciała być jego kolejną łatwą zdobyczą. Rzecz jasna, jeśli nadarzy się okazja, nie powie mu „nie”. Byłoby głupotą odmówić sobie kilku chwil przyjemności.

Postąpi jednak tak, jak robi to Rosanna: zgodzi się na jednonocną przygodę wyłącznie na swoich warunkach. Pierwszy raz w życiu pośle w diabły odpowiedzialność i godność, zaryzykuje i dostanie to, czego tak potwornie pragnie. Musi tylko wymyślić plan, jak to dokładnie zrobić.

Lorenzo wiedział, że gra nie fair. Nic jednak w życiu nie pociągało go tak bardzo jak ryzyko. Od zawsze lubował się w robieniu tego, co tak zwane społeczeństwo próbowało wybić mu z głowy. Był urodzonym buntownikiem: uwielbiał łamać zasady, przekraczać granice.

Jednak w ciągu ostatnich kilku lat wydorósł. Niegdyś żył na krawędzi, lecz teraz uważał, że już się w życiu wyszalał. Wszystko się zmieniło kilka dni temu. Ta niemal patologicznie porządna i poukładana Sophy obudziła w nim mroczne instynkty. Przy niej tracił nad sobą panowanie. Nie wiedział, jak ta historia się skończy.

Pomyślał, że warto było przed wpuszczeniem jej do środka zdjąć koszulę - tylko po to, by zobaczyć jej minę, którą nadal miała. Lorenzo nieczłowieckim wysiłkiem trzymał na wodzy swoje hormony i odruchy. Miał ochotę przycisnąć ją do ściany i kochać się z nią, tu i teraz. Czuł, że jego ciało płonie, jakby bezustannie trawione dziwną gorączką, która nie ma nic wspólnego z anginą. To uczucie nie odstępowało go od momentu, kiedy Sophy go dotknęła. Jej delikatna, chłodna dłoń wcale nie przyniosła mu wtedy ukojenia. Przeciwnie - jedynie rozpałała go do białości. W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, kiedy jego organizm toczył batalię z chorobą, leżał w łóżku i gorączkowo o niej fantazjował.

Owszem, był przepracowany. W jego życiu ostatnimi czasy zabrakło miejsca na zdrową porcję zabawy i uciechy. Kiedy bar zostanie już otwarty, trochę przystopuje, wreszcie odetchnie. A przede wszystkim rozerwie się! Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby już teraz trochę się zabawić.

Zabrzączał telefon Sophy. Zanurzyła rękę w torebce. Lorenzo stał nieruchomo jak posąg. Chłonał jej zdenerwowanie, skrępowanie oraz - tak, czuł to wyraźnie - podniecenie. Kiedy jednak usłyszał męski głos w słuchawce, wszystko, całe to rozkoszne napięcie, prysło.

- Tak, nie martw się, Ted - rzuciła do telefonu. - Odbiorę to w drodze do domu. Wpadnę do ciebie przed szóstą.

Kim, do diabła, jest Ted? Lorenzo poczekał, aż Sophy zakończy rozmowę. Następnie natarczywym spojrzeniem i wymownym milczeniem wymusił na niej wyjaśnienie.

- Ted to mój brat. Przepraszam - wydukała.

Wyrwał jej z dłoni telefon i wyłączył go całkowicie.

- Kiedy przebywasz w moim towarzystwie, koncentruj się tylko na mnie - poinstruował ją autorytatywnym tonem.

Spojrzała na niego zdumionymi oczami.

- Na pracy dla mnie - doprecyzował.

Oddał jej telefon. Jej dłoń drżała, tak jak reszta ciała. Uwielbiał doprowadzać ją do takiego stanu. To była jego zemsta za to, co ona z nim robiła. Odsunął się. Uznał, że oboje muszą ochłonąć.

- Pójdę włożyć koszulę, a potem omówimy ważne zagadnienia dotyczące fundacji.

Sophy wrzuciła wszystkie leżące na tacce kostki lodu do szklanki; kilka z nich potoczyło się po stole, parę roztrzaskało się o podłogę. Fala gorąca, która zawładnęła jej ciałem, nie chciała ustąpić.

Fakt, że Lorenzo włożył koszulę, nie zrobił niemal żadnej różnicy. Przez ponad godzinę Sophy cierpiała katusze. Siedziała przy biurku, podczas gdy on krążył wokół niej, za nią, nad nią. Podawał jej istotne informacje na temat fundacji, które znał jedynie on i nieobecna Cara. Resztę dnia Sophy miała już tylko dla siebie, lecz nawet po wielu

godzinach nie udało jej się ochłonać. Wypiła pół szklanki wody jednym haustem i opadła wycieńczona na krzesło.

- Gdzieś ty się podziewała? Przyjechałam tylko na jeden dzień. Myślałam, że pójdziemy na pedicure.

Sophy odwróciła się gwałtownie. Na jej ustach pojawił się radosny uśmiech.

- Wróciłaś! - Podekscytowana przebiegła przez pokój, by uścisnąć swoją współlokatorkę.

- Mam rozumieć, że ty też się za mną stęskniłaś? - odparła Rosanna, obejmując przyjaciółkę. Nagle przerwała uścisk i odsunęła się o krok. - Uwaga! Nie możemy pognieść naszych bluzek.

Sophy wybuchła śmiechem. Rosanna zawsze kojarzyła jej się z... wykrzyknikiem. Niespotykany okaz osoby, która zawsze i wszędzie elektryzowała otoczenie, zwłaszcza męską część populacji. Nawet wyglądała jak wykrzyknik: wiecznie ubrana na czarno, bardzo wysoka, ze smukłymi rękami i nogami oraz lśniąco ciemnymi włosami upiętymi w wysoki kucyk, który nie przestawał się kołysać. Kiedy miała dobry dzień, była fontanną energii i radości życia.

Kiedy humor jej nie dopisywał, potrafiła powiedzieć o kilka słów za dużo, szczególnie że była szczerą do bólu.

- No, mów, gdzie cię wzięło? Wylądowałam kilka godzin temu i od tamtej pory umieram z nudów, a o dziesiątej znowu odlatuję. Dlaczego nie działa twoja komórka?

Sophy nie miała zamiaru ukrywać prawdy, choć była świadoma, że Rosanna nie przyjmie tych wieści z entuzjazmem.

- Pracuję jako administrator biura.

Przyjaciółka zmarszczyła czoło.

- Znalazłaś pracę?

- Nie, raczej praca znalazła mnie. To długa historia. Zastępuję dziewczynę, której dziecko przyszło na świat o wiele wcześniej, niż przewidywano.

- Och, to okropne! A jak się czuje to dziecko?

- Podobno lekarze są dobrej myśli.

- Chwileczkę, czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego ci ludzie nie wzięli kogoś z agencji pracy tymczasowej? Dlaczego padło akurat na ciebie? Ach, już wiem! - Rosanna wyróciła oczami. - Ktoś cię poprosił o przysługę. Zgadłam?

- Tak. Cara. Ta, która urodziła dziecko. Bliska przyjaciółka Victorii, mojej siostry.

- Ach, a ty oczywiście nie mogłaś powiedzieć „nie”, prawda? - Przyjaciółka westchnęła teatralnie, następnie wyciągnęła z szafki butelkę wina. - Jak się nazywa ta firma?

- Słyszałaś o fundacji „Gwizdek”?

Rosanna zagwizdała pod nosem, otwierając korkociągiem butelkę.

- Alex Carlisle i Lorenzo Hall. Wszyscy o nich słyszeli. Alex niedawno się ożenił, a Lorenzo to facet, którego się nie zapomina.

Cóż, to prawda. Obraz Lorenza chyba już na stałe wypalił się w mózgu Sophy. Pamiętała w najmniejszych szczegółach jego twarz i ciało. Słyszała w myślach jego głos.

- Wygląda jak półbóg. Podobno jest również nieziemskim kochankiem - rzuciła Rosanna.

- Skąd wiesz? Miałaś z nim romans? - Sophy poczuła bolesne ukłucie zazdrości.

- Nie. - Rosanna naląła karminowy trunek do kieliszków. - Naturalnie, z wielką chęcią poznałabym go bliżej. Niestety, spotkałam go tylko raz. Ledwie mnie uraczył przelotnym spojrzeniem.

- Jestem pewna, że to nieprawda - uśmiechnęła się Sophy. - Każdy facet wlepią w ciebie ślepią aż do znudzenia.

Rosanna usiadła na krześle, trzymając w dłoni wielki kieliszek wina.

- Moja droga. Lorenzo to nie jest byle facet. Słyszałam, że pan Hall z każdą kobietą spędza co najwyżej kilka nocy, a potem: *au revoir*. Nie interesuje go nic, co choćby w najmniejszym stopniu przypomina poważny związek lub romantyczną historię.

Rosanna dostrzegła zamyślony wyraz twarzy Sophy. Przekrzywiła głowę i zapytała:

- Jesteś nim zainteresowana, prawda?

- Nie, broń Boże! - skłamała.

Oblała się rumieńcem, po czym parsknęła śmiechem.

- Oczywiście, że jesteś. - Rosanna również zachichotała. - Każda by chciała go bliżej poznać. Ale on chyba nie jest w twoim typie.
- Tak myślisz? - Sophy poczuła nagle irracjonalną irytację.
- To nieuleczalny playboy. Łamie niewieście serca dla sportu. - Rosanna nachyliła się do przyjaciółki. - Ujmę to inaczej: Lorenzo Hall to rekin, a ty potrzebujesz... delfina.
- Czyli kogoś z wielkim nosem? Wielkie dzięki - burknęła Sophy.
- Mam na myśli porządnego faceta, który da ci poczucie bezpieczeństwa. Nie potrzebujesz niebezpiecznego typu, który cię skonsumuje i... wypluje.
- Myślisz, że bym mu na to pozwoliła?
- Nie ty pierwsza.
- Zatem nie masz dla mnie żadnej rady? - Sophy miała zawiedzioną minę.
- Jestem ostatnią osobą, którą powinnaś prosić o radę.
- Niby dlaczego? - zdziwiła się Sophy. Przecież mężczyźni jedli Rosannie z ręki!
- Proszę. Nie praw mi kazań, tylko doradź coś.
- W co byłaś dzisiaj ubrana w pracy?
- W to, co mam teraz na sobie.
- Twarz Rosanny wykrzywił grymas.
- Coś jest nie tak z tym strojem? - Czy popełniła jakieś modowe *faux pas*? Nie miała pojęcia, dlaczego Rosanna patrzy na nią z taką dezaprobatą.
- Nie, sam w sobie jest w porządku. Ale, nie okłamujmy się, daleko mu do kreacji Grace Kelly.
- Nie ma co, miła dziś jesteś - obruszyła się Sophy.
- Zrozum, skarbie, to rekin, który pożre takiego kociaka jak ty. Taką małą słodką kotkę. Pamiętaj, że cię ostrzegałam. - Rosanna westchnęła i machnęła ręką. - Zresztą, nie słuchaj mojego gładzenia. Jestem dziś nie w sosie. Na domiar złego już nie zdążymy pójść do kosmetyczki. Zmarnowałam cały dzień, siedząc tu i nic nie robiąc.
- Och, biedactwo! - rzuciła Sophy z ironią. - Powinnaś wreszcie przystopować i przypomnieć sobie, czym jest słodkie nieróbstwo.



- Przyganiał kocioł garnkowi. - Przyjaciółka wstała z krzesła. - Ja przynajmniej rozkręcam swoją karierę, a ty jesteś wiecznie zajęta, ponieważ bawisz się w dobrą samarytanę.

- W nic się nie bawię. Niestety - westchnęła Sophy. - No, leć już. Spóźnisz się na samolot. *Bon voyage*. - Rosanna pracowała jako menadżer w słynnej na cały świat firmie odzieżowej. Była kompetentna, przebojowa, szykowna i chora na pracoholizm. Więcej dni spędzała na wyjazdach niż w domu.

Rosanna chwyciła rączkę swojej luksusowej walizki na kółkach.

- Uwielbiam Wellington. Cudowne miasto.

- Chłopcy będą za tobą tęsknić - rzuciła Sophy nieco szyderczo.

- Och, wyjdzie im to tylko na zdrowie - odparła przyjaciółka, strzepując z czarnych obcisłych spodni niewidzialny pyłek.

Sophy z rozbawieniem i podziwem obserwowała wystudiowaną obojętność na twarzy Rosanny.

- Czy kiedykolwiek podejmiesz decyzję?

Po chwili namysłu Rosanna odpowiedziała z bezwstydnym uśmiechem:

- Nie, chyba nie.

Ostatnio spotykała się z dwoma mężczyznami. Obaj wiedzieli o swoim istnieniu, co więcej - czasem nawet chodzili we trójkę po nocnych klubach. Rosanna, ludzkie wcielenie czarnej wdowy, lubiła łapać w swoją sieć tylu mężczyzn, ilu się tylko dało. Emmet i Jay byli jej najnowszymi ofiarami. Rosanna jednak była kobietą tak atrakcyjną i czarującą, że każdy mężczyzna chciał chociaż przez chwilę być jej zabawką.

Sophy znała Rosannę lepiej niż większość ludzi. Wiedziała, że pod jej piękną i cyniczną powłoką kryje się złote serce. O jego istnieniu wiedzieli nieliczni, ponieważ było ono pilnie strzeżoną tajemnicą. Rosanna wolny czas spędzała flirtując, uwodząc i wykorzystując mężczyzn, za ich pełną zgodą. A wszystko to robiła dlatego, że kiedyś ktoś brutalnie złamał jej serce. Od tamtej pory traktowała mężczyzn mniej lub bardziej instrumentalnie. Romanse były dla niej relaksem i rekreacją, niczym więcej.

Serce Sophy również zostało kiedyś złamane. I, szczerze mówiąc, ona również chciała teraz po prostu trochę się zabawić. Wiedziała zresztą, z kim. Odprowadziła

Rosannę do drzwi i poczekała z nią na przyjazd taksówki, jednocześnie próbując wchłonąć jak najwięcej pewności siebie i energii życiowej, którą promieniowała przyjaciółka. Rosanna robiła rzeczy, na które Sophy nie starczało odwagi, ponieważ - jak mawiała jej współlokatorka - była zbyt „odpowiedzialna”. Prawda była nieco bardziej skomplikowana. Sophy nie mogła myśleć tylko o sobie; musiała myśleć o swoich bliskich, którym za nic w świecie nie chciała przynieść wstydu. Jako córka sędziego, wiedziała, że jej wybryki mogłyby trafić na łamy brukowców. Trzymała się zatem z daleka od alkoholu, narkotyków, złego towarzystwa i jednonocnych romansów. Mimo że nie spełniła oczekiwań rodziców i nie poszła na prawo, miała ambicję być „idealnym dzieckiem”. Próbowwała również znaleźć idealnego narzeczonego. W tej dziedzinie nie miała szczęścia; ostatni chłopak, z którym się zadawała, spotykał się z nią tylko dlatego, że pochodziła z zamożnej i wpływowej rodziny. Od tamtej pory nigdy nie chwaliła się nikomu, kim są jej rodzice.

- To praca na pełny etat? - zapytała Rosanna.

- Tylko przez pierwszy tydzień lub dwa,

- Wiesz, co jest twoim problemem, skarbie?

- Śmiało, oświeć mnie.

- Jesteś zbyt słodka - wyjawiała przyjaciółka. - Dlaczego nie nauczysz się wreszcie mówić „nie”?

Przestań być taka miła dla swojej rodziny, dla mnie i dla całej ludzkości.

- Miałabym być dla ciebie niemiła? Przecież pozwoliłaś mi się do ciebie wprowadzić!

Rosanna wzruszyła ramionami.

- W domu jestem zawsze tylko przelotem. To, że wzięłam cię na współlokatorkę, było totalnie egoistycznym zagranie. Pilnujesz mi chaty i jesteś w tym doskonała.

Sophy zaśmiała się; wiedziała, że Rosanna nie mówi tego do końca poważnie.

- Kiedy ukończysz swoją kolekcję? - Padło nagle pytanie.

Sophy wiedziała, że przyjaciółka prędzej czy później poruszy ten temat.

- Nie wiem, czy w ogóle mi się to uda...

- Oczywiście, że uda! - zawołała Rosanna z ogniem. - To idealny moment. Obiecay mi, że to zrobisz.

- Przecież kilka minut temu sugerowałeś, żebym przestała mówić „tak”. Nawet tobie.

- Zgadza się. Ale tu chodzi o ciebie, nie o mnie. To twoja szansa. No więc?

- Dobrze, obiecuję - poddała się wreszcie Sophy. - Kiedy wracasz?

- Pod koniec tygodnia. Ale na krótko. Potem znowu wylatuję.

- Czy to się tobie nigdy nie znudzi?

- Nie.

Podjechała taksówka. Rosanna podbiegła do auta, stukając o chodnik wysokimi obcasami i kołysząc kucykiem.

- Podczas mojej nieobecności - zawołała przez okno samochodu - nie waź się używać słowa „tak” ani na nic się godzić! Mówię śmiertelnie poważnie. I trzymaj się z dala od Lorenza.

- Pamiętaj, że kotki mają pazurki - odrzekła Sophy.

- Nie łudź się, skarbie. Nawet go nimi nie zadraszniesz. Pa, pa!

Sophy wróciła do mieszkania. Cisza, którą zostawiła za sobą Rosanna, dzwoniła jej w uszach. Nienawidziła tych smutnych momentów. Potem przyzwyczajała się do ciszy i samotności.

Rosanna ma rację, pomyślała. Muszę dokończyć swoją kolekcję, zdążyć z nią na wystawę. To ogromna szansa i nie powinnam jej zmarnować. Pełna zapału i determinacji, zamknęła się w swoim pokoju i pracowała do późnych godzin nocnych, nawet nie robiąc sobie przerwy na przekąszenie czegoś. Nie chciała wypaść z rytmu. Kompletnie zatracala się w swojej pasji.

Cudem nie zasnęła do pracy. Otworzyła okno w gabinecie, aby wpuścić świeże wiosenne powietrze. Na zewnątrz ujrzała Lorenza. Trzymał w dłoni wielki szeroki pędzel i zamalowywał czarną farbą kolorowe graffiti. Aż tak mu przeszkadzało? Sophy było żal malunku. Nie mogła jednak oderwać wzroku od Lorenza. Ubrany był w luźne dżinsy, które jak zwykle zwisały mu z bioder, oraz stary podkoszulek.

Stopy miał bosc. Pomiedzy uchem a ramieniem miał zatknęty telefon komórkowy. Jego głos niósł się echem po całym podwórku, słycać go było nawet w gabinecie.

Sophy pomysłała, że powinna zamknąć okno.

Włączyła komputer, by się skoncentrować na pracy, a nie podsłuchiwać rozmowy.

- Jak się udały wakacje w zamku? - zapytał Lorenzo.

Alex zabrał swoją ukochaną, Dani, do Włoch, gdzie spędzili nieco spóźniony, lecz wydłużony miesiąc miodowy; przez kilka tygodni mieszkali w jakimś wiekowym zamku.

- Wspaniale. Ale nie ma w tym nic dziwnego. Za taką cenę powinno być wspaniale - zaśmiał się Alex. - Co u Cary?

- Bez większych zmian. Dzielnie się trzyma. - Przejechał pędzlem po ścianie. - Prosiła, żebym ci przekazał, że kwiaty bardzo się jej spodobały. Mówiła, że dziecko jest nadal małe i słabe, ale jego życie nie jest już zagrożone.

- Nie pojechałeś do niej osobiście do szpitala?

- Nie.

- Ech, Renz, Renz... - westchnął Alex.

- Dobrze wiesz, że nie przepadam za takimi... rzeczami. - Widok szczęśliwych rodzin i udanych małżeństw był dla niego bolesny.

Rzecz jasna, martwił się o Carę, wysłał jej tonę prezentów, lecz ona nie potrzebowała jego pomocy. Wsparcie otrzymywała od męża i licznej rodziny. Nie było sensu, żeby tam zaglądał i przeszkadzał.

- A co z fundacją? Znalazłeś zastępstwo za Carę?

- Tak - westchnął. - Prawdę mówiąc, Cara sama je znalazła. Przysłała mi młodszą siostrę swojej najlepszej przyjaciółki. Ma na imię Sophy. - Lorenzo z werwą chlapnął farbą na mur. - Jest taka pragmatyczna. Poukładana. Pedantyczna. Przypomina mi przedwojenną skautkę.

Alex parsknął śmiechem.

- Same dobre cechy! Co ci więc w niej przeszkadza?

- Już powiedziałem - burknął.

- Nie wciskaj mi kitu, stary. Może chodzi o to, że jest zbyt ładna?

Lorenzo znowu chlapnął czarną farbą, przykrywając kolorowe graffiti. Tak, jest zbyt ładna. Ma wielkie błękitne oczy i blond loczki. Jest piekielnie atrakcyjna, ale otacza ją aura niewinności. Lorenzo miał wątpliwości, czy powinien ją z tego odzierać.

- Dobrze wykonuje swoją pracę. Tylko to się liczy.

Zakończył rozmowę, a następnie dokończył malowanie. Odwrócił się i rzucił okiem na pierwsze piętro. Okno gabinetu było otwarte, lecz nie widział nikogo przy biurku; pewnie Kat je otworzyła, by przewietrzyć pomieszczenie.

Wbiegł po schodach do swojego apartamentu, zmył z siebie pod prysznicem farbę, a następnie zszedł do recepcji i odebrał od Kat korespondencję. Odnalazł Sophy na pierwszym piętrze.

- Jesteś dziś umówiona na randkę ze swoim chłopakiem? - zapytał na dzień dobry.

Porządkowała akurat papiery. Zamarła, usłyszawszy jego pytanie.

- Słucham?

- Dziś jest otwarcie baru. Powinnaś tam być.

- Aż tak desperacko potrzebujesz klientów nowego lokalu? - odparła z sarkazmem.

Spojrzała na niego. Emanował chłodem.

- Nie. Jestem pewny, że bar zrobi furorę. Pomyślałem tylko, że może chciałabyś tam wpaść. - Oparł się o framugę drzwi. - To sympatyczne miejsce, przytulne i intymne. Można sobie usiąść na sofie w rogu i spędzić romantyczne chwile z partnerem. - Czy ona kiedykolwiek zrobiłaby coś takiego? Śmiał wątpić. - Można też poszaleć na parkiecie. Jak już jednak wspominałem, można też zaszyć się w kącie na sofie i... - dodał, celowo ją prowokując.

- Wolę tańczyć - oświadczyła. - Mam jednak na dziś wieczór inne plany.

- Randka z chłopakiem? - Mało subtelne pytanie, lecz on naprawdę musiał wiedzieć, czy kogoś ma. Musiał wiedzieć natychmiast.

- Nie - odparła tak spokojnie, jak tylko potrafiła, co w obecnych okolicznościach było nie lada sztuką. - Nie mam chłopaka.

- Nie? - W jego głosie nie było zaskoczenia.

To jeszcze bardziej ją poirytowało. Dostrzegła też na jego ustach cień uśmiechu.

- Z nikim się nie spotykam, ponieważ nie chcę się z nikim spotykać - wyjaśniła chłodnym tonem.

Zrobił zdumioną minę.

- Dlaczego? - Podszedł bliżej, by położyć na biurku listy. - Czyżby jakiś łajdak złamał ci serce?

Gwałtownie wciągnęła do płuc powietrze.

- Skąd pomysł, że ja w ogóle mam serce? - wycodziła powoli. - My, do obrzydzenia poukładane i pedantyczne skautki, nie mamy tego organu. Jesteśmy maszynami.

Uniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. Patrzyli na siebie w milczeniu przez długą, pełną napięcia chwilę. W końcu Sophy poczuła, jak się rumieni. Co za idiotyzm! Przecież to on powinien się spalić ze wstydu za to, co na jej temat powiedział Aleksowi. Ona nawet nie podsłuchiwała. Słowa same wpadły jej do uszu.

- Uderzyłem w twój czuły punkt, prawda? - odparł, nadal się w nią wpatrując twarzym wzrokiem. - Powiedziałem tylko, że „przypominasz” mi skautkę, a nie że nią jesteś.

- Dla mnie to jedno i to samo.

Uśmiechnął się drapieżnie.

- Wiem, że nie jesteś maszyną. Wiem, że masz w środku jakieś uczucia i emocje - rzekł, dotykając jej lekko palcem w splot słoneczny.

Stała nieruchomo, modląc się, by jej serce przestało bić w tak opętającym tempie.

- Na przykład gniew. - Chwycił jej ramię i przyciągnął do siebie. - Jesteś na mnie wściekła, Sophy?

Nie chciała się z nim szarpać. Nie chciała, by myślał, że się go boi.

- Mam sprawić, żebyś przestała się na mnie gniewać? - Położył dłonie na jej talii.

- Niby jak chciałbyś to osiągnąć? - Jej głos nie zadrżał, lecz ciało tak. - Pocałunkiem?

- Zgadłś. Pocałunkiem. - Czuła na twarzy jego ciepły oddech. - Przecież tego właśnie pragniesz.

- Nie. - Teraz naprawdę była na niego wściekła... bo miał rację. Tego właśnie pragnęła. Marzyła o pocałunku od momentu, kiedy go ujrzała. Nie chciała jednak, by poca-

łunek miał miejsce w takich okolicznościach, na jego zasadach. - To by nic nie naprawiło.

- Doprawdy?

- Tak. Pocałunek wszystko by tylko pogorszył. - Wbiła w niego ostre spojrzenie, czując, jak wzbiera w niej furia. - Przestań mnie tak traktować, Lorenzo. Myślisz, że jesteś lepszy ode mnie? Sądzisz, że jestem robotem? Rozwydrzoną córką bogatych rodziców, która zabija czas, pomagając innym? Myślisz, że nie mam własnych marzeń i ambicji? Własnych pragnień? Jak śmiesz mieć taką opinię na mój temat?

Urwała. Nagle uświadomiła sobie, że wylewa na niego zółć, której nie on jest źródłem. Objął ją jeszcze mocniej w talii.

- Wcale tak o tobie nie myślę - zaprzeczył szczerze. - Najwyraźniej jednak podejrzewasz, że niektórzy ludzie tak właśnie ciebie widzą.

Milczała. Czuła, jak łzy zaczynają ją szczypać w oczy.

- Dlaczego zgodziłaś się tu pracować, skoro miałaś inne plany? - zapytał wprost.

Dlatego, że nigdy, przenigdy nie mówiła „nie”. Zresztą miała przecież sporo wolnego czasu. I szczerze lubiła pomagać. Dzięki temu czuła się potrzebna i pożyteczna. Problem w tym, że Lorenzo w rozmowie telefonicznej z Alekssem wyszydził jej wrodzony altruizm. Czy tak naprawdę wszyscy się ze mnie śmieją za moimi plecami? - zastanawiała się, na skraju załamania.

Spuściła głowę. Kilka łez spadło na ziemię.

- Nieważne - wydukała.

- Przeciwnie. Bardzo ważne. - Ujął ją pod brodę i unióś jej głowę, by znowu spojrzeć mu w oczy. - Naprawdę jesteś na mnie wściekła. Za to, co powiedziałem o tobie Aleksowi. Prawda?

- Przejdzie mi. - W tej chwili była wściekła przede wszystkim na to, że pozwoliła sobie przed minutą na chwilę słabości. - Mam w nosie to, co o mnie myślisz. Jestem tu, by wykonywać swoją pracę. Pozwól mi kontynuować to, co przerwałam.

- Dopiero wtedy, gdy cię przeproszę.

- Chyba nie jesteś typem człowieka, któremu takie słowa przechodzą przez gardło - odparła cierpko.

- Widzisz? Sama wyrobiłaś sobie na mój temat zdanie, nic tak naprawdę o mnie nie wiedząc. - Jego usta ułożyły się jednak w łagodny uśmiech. - To prawda, rzadko przyznając się do winy, ale kiedy to robię, jest to szczerze i prawdziwie. - Pogładził kciukiem jej policzek. - Przepraszam.

Pociągnęła głośno nosem.

- Nie szkodzi. - Jego słowa sprawiły, że poczuła się odrobinę lepiej. - Po prostu za bardzo się przejmuję tym, co ludzie o mnie myślą - wyznała ze smutnym uśmiechem.

- A ja przejmuję się tym, co ty o mnie myślisz - szepnął łagodnie.

Dlaczego Lorenzo nagle zaczął być dla niej miły? Przez to sprawy jeszcze bardziej się komplikowały.

- Zapomnijmy o całej tej sytuacji - zaproponowała.

- Nie. - Zbliżył twarz do jej twarzy. - Zrobię to, o czym wcześniej wspomniałem.

Jej oczy się powiększyły. Uwielbiał, kiedy to robiła.

- Od samego początku to wisiało w powietrzu. Doskonale o tym wiesz, Sophy.

Zamarła. Całe jej ciało zeszytniało. Wstrzymała oddech. Wpatrywała się w jego ciemne oczy, tonęła w nich, nie mogąc się doczekać, aż wreszcie ją pocałuje...

Zrobił to. Prawie.

Musnął wargami jej policzek, lekko, leciutko, tuż przy kąciku jej ust.

- Lepiej? - zapytał ledwie słyszalnym szeptem.

- Nie.

Stali nieruchomo przez kilka długich chwil. Napięcie, które czuła Sophy, stało się nie do wytrzymania. Miała wrażenie, że zaraz oszaleje, jeśli jego usta nie przesuną się o kilka milimetrów w bok...

Nareszcie! Przesunęły się. Jego wargi były miękkie, ciepłe i słodkie. Nie spodziewała się po nim tak subtelного, łagodnego pocałunku. Usłyszała cichy jęk. Swoją własny? Zadrzała. Obudziło się w niej potężne jak żywioł pragnienie czegoś więcej.

I nagle pocałunek się skończył.

Nie mogła oddychać. Podniosła powieki i ujrzała jego oczy. Były teraz zupełnie czarne, piękne, nieprzeniknione. Czas jakby przestał płynąć. Każdy jej nerw wibrował,



każde uderzenie jej serca wprawiało w drżenie całe jej ciało. Modliła się o kolejny pocałunek.

Lorenzo puścił ją i zrobił gwałtowny krok w tył.

- Przepraszam - wyszeptał. I wyszedł.

Sophy stała nieruchomo przez kilka długich chwil, po czym opadła na fotel.

Przycisnęła pięści do oczu, do skroni, by zablokować wszelkie myśli i uczucia. By nie popaść w obłąd. Nie mogła zrozumieć tego, co się stało. Miała wrażenie, że rozpadła się na milion kawałeczków, po czym ktoś ją posklejał bez ładu i składu, tak że nie przypominała już osoby, którą była jeszcze pięć minut temu.

Uczucie rozczarowania, którego doznała, było druzgocące.

Dlaczego nagle przerwał pocałunek i wyszedł?

Dlaczego powiedział „przepraszam”? Czy żałował tego, że ją pocałował? Wiedziała, że on również poczuł to co ona - tę iskrę, a raczej płomień, który trawił ich od środka. Dostrzegła to wyraźnie w jego oczach. Bolesna tęsknota za czymś więcej.

Sophy bała się, że nie będzie ciągu dalszego. Bała się, że to potworne pragnienie, które nią zawładnęło, nigdy nie zostanie zaspokojone.

Postanowiła zostać w fundacji, lecz nie wykonywać już dziś żadnej pracy, tylko całą uwagę poświęcić swojemu projektowi. Czowała w tej chwili determinację silniejszą niż kiedykolwiek wcześniej. Determinację graniczącą z desperacją.

- Udowodnię wszystkim, że mam własne życie i własne marzenia, które niedługo zacznę realizować! - powiedziała na głos, usiadła przy biurku i wyjęła z torebki małą skrzyneczkę.

To był błąd! - jęknął w duchu Lorenzo. Gigantyczny błąd!

Kiedy oddalał się od niej po przerwaniu pocałunku, każda komórka w jego ciele buntowała się przeciwko temu, co robił. Pragnął zupełnie zatracić się w słodkiej rozkoszy, którą dawały mu jej usta, jej zapach, jej ciepło.

Ale te oczy... wielkie błękitne oczy, które wpatrywały się w niego wyczekująco. W tym właśnie momencie dotarło do niego, że popełnia zbrodnię. Ona była taka niewinna! Nie miał prawa jej z tego odzierać. Nigdy nie zadawał się z tego typu kobietami: czysty-

mi, dobrymi, takimi, które można łatwo skrzywdzić. Już to zresztą zrobił, kiedy palnął to kretyńskie głupstwo podczas rozmowy z Alekssem.

Nadal jednak odtwarzał w pamięci ich pocałunek. Nie mylił się; w Sophy drzemała dzika namiętność. Była niczym uspiiony wulkan. Wystarczyło krótkie zetknięcie ich ust, by się o tym w pełni przekonać. Wiedział, że wspólna noc z Sophy byłaby przeżyciem wstrząsającym, niemal metafizycznym. Jeśli jednak zranił ją kilkoma idiotycznymi słowami, to nie ma szans, by wytrzymała tego typu namiętną, lecz krótką przygodę. Nawet nie miłosną, tylko erotyczną. To wszystko, co mógł jej zaoferować. Taką miał naturę. Ona natomiast jego zdaniem była stworzona do stałych związków.

Ta dziewczyna jest dla mnie po prostu za dobra! - tak brzmiała finalna konkluzja jego rozmyślań. Kiedyś był w poważnym związku, który nadal był dla niego wyjątkowo bolesnym wspomnieniem. Od tamtej pory przez łóżko Lorenza przewinęło się mnóstwo kobiet; w większości przypadków nie pamiętał - a może nawet nigdy nie znał? - ich imion. Wyznawał zasadę: trzy noce z jedną kobietą i koniec. Słodka Sophy nie zniosłaby takiego układu.

Jak ma się teraz względem niej zachowywać? Nie może być niegrzeczny i traktować jej jak powietrze. Postanowił wszelkie ich stosunki ograniczyć do relacji przełożony-podwładna.

Po południu wrócił do jej gabinetu. Uchylił bezgłośnie drzwi. Siedziała przy biurku, pochylona nad jakimiś małymi przedmiotami. Był to niecodzienny widok. Zawsze rozmawiała przez telefon, stukając na klawiaturze lub porządkowała papiery. Teraz siedziała spokojnie, skoncentrowana i wyciszona. Lorenzo, zerkając przez szparę w drzwiach, wpatrywał się w nią przez kilka długich minut. Wreszcie go zauważyła.

- Och, przepraszam. - Zarumieniła się. - Nie usłyszałam pukania.

Nie przyznał się, że wcale nie zapukał.

- Co robisz? - zapytał.

Sophy gorączkowo zaczęła pakować wszystkie przedmioty i przyrządy do skrzyneczki.

- Spokojnie, przecież przysługuje ci przerwa na lunch - przypomniał jej uprzejmym tonem.

- Tak, wiem, ale...

Urwała. Na jej twarzy malowało się poczucie winy. Czyżby całe popołudnie tkwiła tutaj, za biurkiem, zaniedbując swoje obowiązki?

- Co tam robisz? - powtórzył pytanie.

Uciekła wzrokiem, spłoszona i zmieszana.

- Naszyjnik - odparła głosem brzmiącym jak słabe echo.

- To twoje hobby? - zapytał ze szczerym zainteresowaniem.

Nagle Sophy poczuła przypływ pewności siebie.

- Tak - przytaknęła ożywiona, po chwili jednak znowu jakby się skurczyła i skuliła w fotelu. - Przepraszam, straciłam poczucie czasu.

- Nie martw się - uspokoił ją. - I tak odwaliłaś już kawał świetnej roboty. - To prawda, dzięki Sophy fundacja znowu sprawnie działała. Po chaosie, który tu panował przez ostatnich kilka tygodni, nie było już prawie śladu. - Możesz dziś wcześniej wyjść z pracy.

- Dobrze. Dzięki.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, coś zrobić, lecz nie miał pojęcia, co by to miało być. Wyszedł i wrócił do swojego gabinetu. Przecież to był tylko jeden krótki pocałunek. Nic wielkiego. Oboje jutro nie będą już o nim pamiętać. Przestanie go dręczyć myśl o tym, by uwieść Sophy. Przestanie o niej myśleć w takich kategoriach.

Choć raz w życiu zrób to, co należy, Lorenzo - usłyszał głos rozsądku. Postanowił go posłuchać.

Sophy nie mogła zasnąć. Znowu siedziała do późna w nocy, pracując nad swoją biżuterią. Była niezadowolona z naszyjnika, nad którym pracowała wczoraj w biurze. Chciała, by jej kolekcja była czymś absolutnie wyjątkowym, a nie błyskotkami, które każdy może wykonać w domu, jeśli posiedzi nad nimi wystarczająco długo. Przez kilka lat kolekcjonowała starą biżuterię, często podniszczoną lub uszkodzoną, którą następnie rozmontowywała, by zrobić z niej coś zupełnie nowego, unikalnego, swojego. Zdobyła doświadczenie, pracując w sklepie z biżuterią we Francji. Wszystkie wolne chwile spędzała, podpatrując pracę starych mistrzów, wybitnych jubilerów artystów. Ukończyła również kilka kursów, dzięki którym zyskała wprawę i wiedzę.

Wiedziała jednak, że w procesie twórczym kluczowym czynnikiem jest natchnienie przy projektowaniu biżuterii oraz koncentracja przy jej tworzeniu. Niestety, obu tych rzeczy teraz całkowicie jej brakowało.

Wszystko przez Lorenza.

Nie widziała go cały ranek. Wczesnym popołudniem usłyszała jednak za oknem znajomy odgłos. Wyrzała na podwórko. Znowu samotnie rzucał piłką do kosza. Wyjątkowo nie miał obnażonego torsu; włożył koszulkę jakiejś drużyny NBA.

W pewnym momencie Lorenzo odwrócił się i dostrzegł Sophy stojącą w oknie. Cofnęła się, lecz za późno. Posłał jej rozbrajający uśmiech. Rzucił do kosza. Trafił. Znowu się odwrócił. Sophy tym razem ani drgnęła. Patrzyła na niego. Powolnym ruchem uniósł koszulkę, by otrzeć pot z czoła, eksponując przy tym swój doskonale wyrzeźbiony brzuch. Zrobił to celowo, z pełną premedytacją.

Zerknął na Sophy - tak, nadal na niego patrzyła, nieruchoma, jak zahipnotyzowana. Znowu się uśmiechnął i jednym szybkim ruchem zdjął koszulkę, ciskając ją w bok na asfalt.

Nie mogła dłużej znieść tego przedstawienia! Zamknęła okno z głośnym trzaskiem. Wcześniej jednak usłyszała jego głośny śmiech. Tego już za wiele! Zbiegła po schodach, wyszła drzwiami na podwórko i zamknęła je z hukiem. Odwrócił się. Dostrzegła na jego twarzy wyraz zdziwienia. Zapłaci jej za to, że zachciało mu się prowokacji!

Przemaszerowała obok niego w róg boiska, gdzie odbijała się piłka. Chwyciła ją z animuszem, modląc się jednocześnie, by bogowie sportu - jeśli takowi istnieją - byli dla niej łaskawi. Miała ochotę cisnąć piłką, z całych sił w głowę Lorenza, lecz się powstrzymała. Stała na przeciwko kosza. Lorenzo stał zbyt blisko. Posłała mu gromiące spojrzenie, pod wpływem którego odsunął się w bok.

Wycelowwała i rzuciła. Patrzyła, jak piłka szybuje w powietrzu, po czym wpada prosto do kosza. Czowała się, jakby wygrała złoty medal na olimpiadzie. Spojrzała triumfalnie na Lorenza.

- Uczył cię rzucać sam Michael Jordan? - Nie umiał ukryć podziwu. - Chcesz ze mną zagrać?

- Chcę z tobą wygrać - rzuciła buńczucznie.

- Ze mną nikt nie może wygrać.

- Jesteś tego pewny?

Na jego twarz wstąpił szeroki czarujący uśmiech, który był w stanie roztopić lodowiec.

- O co gramy? - Podszedł bliżej.

Sophy zaskoczyła siebie samą. Spojrzała na niego tak wymownie, tak uwodzicielsko, że nie musiała używać żadnych słów, by Lorenzo zrozumiał.

- Naprawdę? - powiedział tylko, upuszczając piłkę, która poturlała się po asfalcie.

- Tak. Przecież to i tak się stanie, prawda? Od początku to wisi w powietrzu. - Widziała, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada znacznie szybciej niż zwykle. On też to czuł. On też tego pragnął.

Nagle chwycił ją za ramię.

- Dlaczego tak ci na tym zależy? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

Skrzywiła się z bólu.

- Bo nigdy nie robiłam czegoś takiego. Nigdy nie przeżyłam jednonocnej przygody. Zawsze byłam „dobrą dziewczynką”, dbałam o swoją reputację, chodziłam z porządnymi chłopcami. Choć raz w życiu chcę zrobić to, na co mam ochotę, i dostać to, czego pragnę.

- I naprawdę sądzisz, że to ja jestem tym, czego pragniesz? - Jego oczy płonęły dziwnym gniewem. Nie takiej reakcji się spodziewała.

Omiotła wzrokiem całą jego postać.

- Masz idealne ciało.

- I naprawdę tylko to cię podnieca? A może kręci cię chodzenie z kimś spoza twojej ligi? Z kimś, kto wywodzi się z nizin? Z prymitywnym brutalem? Bo właśnie tym dla ciebie jestem, prawda?

Potrząsnęła energicznie głową.

- Nie obchodzi mnie twoje pochodzenie. Tak jak powiedziałam, masz idealne ciało. Jesteś silny i sprawny. - Westchnęła z frustracją. - Ilekroć się widzimy, jesteś półnagi. Jakiej reakcji się spodziewałeś? Jestem tylko człowiekiem.

Z jego ust wydobył się gardłowy śmiech.

- Czyli interesuje cię tylko seks?

- Tylko.

Nie wierzył jej. Wypuścił głośno powietrze przez zaciśnięte zęby. Sophy trwała w bezruchu, wstrzymując oddech, czekając na jego decyzję.

- Nie bawię się w związki, Sophy.

- Jestem tego świadoma.

Poluzował chwyt. Na jego twarzy pojawił się już bardziej przyjazny uśmiech. Podszedł jeszcze bliżej. Wygrałam, pomyślała. Pierwszy raz w życiu byłam odważna i szczerą do bólu. I to poskutkowało!

- Niech ci się nie wydaje, że ty będziesz górą w tym układzie - ostrzegł ją ostrym tonem.

I dobrze. Nie zależało jej na dominacji. Teraz interesowały ją już tylko intensywne doznania. Nie chciała myśleć, tylko czuć. Chciała się zabawić. Tak jak Rosanna.

- W porządku - odparła spokojnie.

Objął ją w talii, przycisnął do siebie.

- Jakie masz dla nas propozycje?

- Może przejdziemy do mojego gabinetu i tam to zrobimy?

- Teraz? - Zaśmiał się pod nosem. - Kilka chwil przyjemności, zanim zakończymy dzisiejszy dzień pracy?

- To całkiem pociągająca wizja. - Jej oczy były zamglone, policzki zarumienione.

- Czy to trochę nie zbyt szybkie tempo? Jak na razie mamy na koncie tylko jeden krótki pocałunek. Może wcale nie będzie tak wspaniale, jak myślisz.

Uśmiechnęła się zniewalająco. Wpatrywał się w jej pełne usta, jakby zrobione z dwóch płatków róży.

- Nie zawiedziesz mnie. Słyszałam o tobie to i owo. Zresztą, nie szkodzi spróbować. - Przywarła do niego. Poczowała bijące od jego ciała ciepło, jego męski zapach.

- Sophy, czy jesteś w pełni świadoma tego, o co prosisz?

Nie odpowiedziała. Uniosła głowę i rozchyliła usta. Lorenzo nie potrzebował dalszej zachęty.

Nakrył jej usta swoimi. Tym razem to nie był łagodny, powolny pocałunek. Przeciwnie, całował ją gorączkowo, głęboko, przyciskając do siebie jej miękkie, rozgrzane słońcem i podnieceniem ciało. Sophy odwdzięczyła się tym samym, zachłannie smakowała jego usta, łączywie dotykała jego ciała. Stała na palcach, oplótła ramionami jego szyję. Chciała nakarmić nim pożądanie, które jeszcze bardziej przybrało na sile, rozprze-strzeniło się po całym jej wnętrzu. Przeklinała ubrania, które mieli na sobie, i wszystko, co dzieliło ich od rozkoszy, w której chciała się teraz zatracić. Lorenzo jedną ręką dotknął jej piersi. Sophy jęknęła głośno.

- Tak - wyszeptała. - Tak...

Istnieje więc czysto fizyczna przyjemność, która jest silniejsza niż wszelkie inne dostępne śmiertelnikom doznania. Coś, co sprawia, że człowiek nie myśli, tylko czuje. Dzięki czemu uwalnia się na chwilę od bycia sobą, odrywa się od ziemi, od ciężaru, którym na co dzień przytłacza życie. Dlaczego przez długie lata sobie tego odmawiała? Zawsze była zbyt poważna, zbyt ostrożna. Wsunęła dłoń w jego gęste, kręcone włosy. W jej głowie niczym neon pulsowała jedna myśl: Więcej...

Lorenzo wiedział, że musi się opamiętać, uciszyć żądzę, która już prawie zupełnie przejęła nad nim kontrolę. Oderwał ręce od jej ciała, usta od jej warg. To bolało. Choler- nie bolało.

Odsunął się, by spojrzeć jej w twarz. Jej błękitne oczy świeciły intensywnym bla- skiem. Wciągały go jak morski wir. Nie potrafił się oprzeć. Znowu ją pocałował. Znowu jej dotknął, niemal parząc swoje dłonie jej rozpaloną skórą. Chciał ją rozebrać do naga, pocałować każdy skrawek jej ciała, zatopić się w niej i wreszcie zaspokoić swój głód, który od tyłu dni uniemożliwiał mu normalne funkcjonowanie.

Nigdy w życiu nie chciał się kochać z nikim tak gorączkowo, jak z Sophy.

Nie! - zawołał w myślach. Dość!

Odsunął się od niej raptownie. Zrobił krok w tył, niemal tracąc równowagę.

- Nie zrobię tego tutaj, teraz - wyszeptał bez tchu. - Nie chcę zrobić tego w taki sposób.

- Dlaczego nie? - zapytała, zaszokowana, nadal jakby zawieszona wysoko nad zie- mią.

Panicznie bała się kolejnego twardego lądowania, takiego jak wtedy, gdy przerwał pocałunek w jej gabinecie.

Jakaś zwierzęca część jego natury chciała dać Sophy to, czego się z takim uporem domagała. Posiąść ją tutaj, pod murem, przerwać tę agonię zmysłów - tak mu podpowiadał instynkt. Nie mógł tego jednak zrobić. Musiał mieć pewność, że Sophy naprawdę - świadomie - tego chce. Żądza charakteryzuje się tym, że zakłóca działanie mózgu. Nie chciał, by potem żałowała swojej spontanicznej decyzji. Sam bowiem wiedział, że nie ma nic gorszego, niż żałować swoich błędnych czynów. Wyrzuty sumienia prześladowają człowieka przez długie lata, odbierają sen, zatruwają życie.

Co za hipokryzja! - usłyszał w środku prześmiewczy głos. Nigdy nie zaprzątałeś sobie głowy wątpliwościami i myślami o konsekwencjach swoich czynów, kiedy w grę wchodziła twoja rozrywka i dobra zabawa. A zatem, co cię teraz powstrzymuje?

Jedna, istotna rzecz: Sophy powiedziała mu, że nigdy czegoś takiego nie robiła. Nigdy nie zgodziła się na tego typu układ. To dlatego żądał od niej świadomej decyzji.

- Czy jesteś pewna, że tego właśnie pragniesz? Wytrzymasz to?

Odwróciła się na pięcie. Bił od niej lodowaty gniew.

- Nie traktuj mnie jak idiotki - odparła obruszona. - Oczywiście, że wytrzymam. Przecież chodzi o błahostkę. Tylko o jedną wspólną noc.

Przeczesał lekko drżącą dłonią włosy. Musiał zapanować nad swoimi sprzecznymi emocjami. „Jedna noc”. I ten spokojny, rezolutny ton jej głosu... Ona chyba naprawdę wie, co robi.

Oczywiście, przyjmę jej piekielnie kuszącą propozycję, pomyślał. Nie chciał jednak zapraszać jej do swojego apartamentu. Mogłaby to źle zinterpretować. Więc co: zaprosić ją na randkę? Nie, to jeszcze gorsze. Randka znaczyłaby, że w grę wchodzi uczucie. Potrząsnął głową. Nie miał żadnego pomysłu.

- Chcesz, żebym zaprosił cię gdzieś na kolację? - zapytał bez przekonania.

- Nie, to zupełnie niepotrzebne - odparła natychmiast.

Zdumiewała go. Może kompletnie nie doceniał tej dziewczyny?

- Naprawdę?

- Naprawdę. Umówmy się u mnie w mieszkaniu.



Uznał, że to całkiem niezły pomysł. Poczł ulgę.

On również nie chciał nigdzie z nią wychodzić, stwarzać pozorów, że są parą lub nawet kochankami. Przecież nimi nie są i nie będą. Po prostu zapuka do jej drzwi, ona mu otworzy i zabiorą się bez zbędnych ceremonii do dzieła.

Podala mu adres oraz godzinę.

- Dobrze, przyjdę.

Uśmiechnęła się i wróciła do budynku. Po kilku chwilach ujrzał ją w oknie gabinetu. Zdążyła się już wcielić w rolę idealnego administratora biura fundacji. Porządkowała jakieś papiery na biurku. Nie wiadomo dlaczego rozdrażnił go ten widok. Po tym, co się zdarzyło tutaj, na boisku, ona naprawdę, ot tak, potrafi wrócić do gabinetu i zająć się śmiertelnie nudną pracą?

Niczego na świecie nie pragnął tak bardzo, jak zobaczyć ją, kiedy traci nad sobą kontrolę, jeszcze bardziej niż w trakcie pocałunków. Chciał pognieść jej idealnie odprasowane ubrania, zburzyć perfekcyjną fryzurę. Chciał, by z jej rozchylonych ust ulatywały niekontrolowane jęki. Chciał, aby w uniesieniu płakała i śmiała się jednocześnie, wołając jego imię, błagając o więcej.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Lorenzo fantazjował o tym od tak dawna. Dlatego teraz był taki spięty i stremowany, niemal jak uczeń, który idzie na swoją pierwszą randkę. Gdyby Sophy wiedziała, jak naładowane dzikim, finezyjnym erotyzmem są jego sny, nigdy nie zaproponowałaby mu tej wizyty. Gdyby wiedziała, co planuje z nią zrobić...

Wziął głęboki wdech. Jej dom pokrywał się z jego wyobrażeniami: malutka śliczna willa w ekskluzywnej dzielnicy. Idealny adres dla młodej, bogatej dziewczyny z Auckland. Szedł ścieżką do jej drzwi, w takt szybko bijącego serca. Nie kupił kwiatów ani nawet butelki wina. Przyniósł tylko siebie. Ona pragnęła jego ciała - i tylko to od niego dostanie. Spędzą namiętne chwile w łóżku. Nie będą w to mieszać swoich uczuć.

Zapukał. Otworzyła drzwi niemal natychmiast. Jej policzki były zarumienione. Przebrała się. Miała teraz na sobie inną, mniej biurową bluzkę i bardziej swobodną rozkloszowaną spódnicę, która podkreślała jej talię osy. Na stopach miała sandałówki na obcasie. Paznokcie pociągnięte różowym lakierem. Jej fryzura przywodziła na myśl gwiazdy Hollywood z lat pięćdziesiątych.

- Nic nie ugotowałam. Wybacz. Byłam zajęta.

Szykowaniem się specjalnie dla niego? Robieniem się na skończone bóstwo? Spodobała mu się taka interpretacja.

Odwróciła się i poprowadziła go do hallu wyłożonego błyszczącą drewnianą boazerią.

- Nic nie szkodzi - odparł.

Był głodny, lecz tylko jej ciała.

- Zamówiłam za to coś przez telefon - wyznała szczerze, wprowadzając go do ładnie urządzonej jadalni. - Pomyślałam sobie, że może najpierw coś przekąsimy.

- Jasne. Nie ma sprawy. - Spojrzał na stół.

Przełożyła zamówione włoskie dania z tekturowych pudełek i plastikowych kubków na śliczną zastawę: delikatna chińska porcelana z kwiatowymi motywami. Cała ona, pomyślał, znowu nieco poirytowany jej pedantyzmem i akuracnością.

Sophy przyglądała mu się uważnie. Dostrzegła na jego twarzy lekki grymas.

- Już żałujesz, że przyszedłeś?

- Nie - zaprzeczył. - Nigdy niczego nie żałuję. A ty?

Potrząsnęła głową.

- Ja również nie. To moje postanowienie noworoczne.

Jasne, pomyślał cynicznie.

- Założę się, że nigdy w życiu nie zrobiłaś niczego, czego mogłabyś potem żałować. Prawda? - zapytał nieco gorzkim tonem, świdrując ją wzrokiem.

- Tak sądzisz? - Podeszła do niego. - Nie jestem aniołkiem, Lorenzo. Ani dziewicą - wyszeptała mu do ucha zmysłowym głosem. - Nie zranisz mnie. Nawet nie skaleczysz.

Przełknął ślinę. Jedzenie poczeka, pomyślał. Miał teraz coś ważniejszego do zrobienia. Uniósł rękę, złapał jeden kosmyk jej blond włosów i okręcił go wokół palca. Pociągnął lekko, rozprostowując lok. Puścił kosmyk, który znowu się skręcił jak sprężyna.

- Jesteś pewna?

Po jej twarzy przemknął cień irytacji.

- Wiesz, że tak. Jesteśmy wreszcie sam na sam, ty i ja. Koniec rozmowy.

Zaśmiał się w duchu. Najwidoczniej nie był odosobniony w swoich fantazjach. Dostrzegł, że Sophy, wbrew swoim deklaracjom, jest nieco zdenerwowana. Przygryzła lekko dolną wargę i stała nieruchomo jak posąg.

Nachylił się ku niej i łagodnie pocałował jej dolną wargę. Jęknęła cicho, uwalniając wargę, oddając ją Lorenzowi, który polizał ją na całej długości. Rozchyliła usta i natychmiast zaczęli kontynuować namiętny pocałunek, przzerwany przez niego kilka godzin wcześniej. Położyła dłonie na jego twardych jak skała ramionach. Napierał na nią biodrami.

Podobało jej się to. Czuła, jak między ich ciałami przeskakują iskry, jak powietrze pulsuje pożądaniem.

Nagle Lorenzo kolejny raz przerwał pocałunek. Chciał zwolnić tempo.

- Nie chcesz najpierw zjeść? - zapytał.

- Zamknij się i bierz się do roboty! - warknęła i znowu do niego przywarła. - Można by sobie pomyśleć, że chcesz stchórzyć.

Ujrzał w jej oczach dziki błysk. Po tremie nie było już śladu. Zachowywała się prowokacyjnie. Chciała jak najszybciej mieć to z głowy. Nie potrafiła się delectować tego typu sytuacjami. Szkoda. Wcześniej powiedziała mu prawdę. Nie była dziewczyną gustującą w przygodach na jedną noc. To znaczy, aż do dziś...

- Coś nie tak? - zapytał. - Dlaczego chcesz mieć to jak najszybciej z głowy? - Czyżby chciała załatwić to wszystko w godzinkę i zdążyć jeszcze spokojnie poczytać w łóżku?

Wykluczone, pomyślał. Sama się o to prosiła. Dostanie całą, całutką noc.

Nie odpowiedziała na jego pytanie. Oddychała głośno, przywierając do niego brzuchem i piersiami. Dotknął palcami jej kości biodrowych, potem ud. Jaka będzie jej reakcja? Nie musiał czekać długo. Jej źrenice się rozszerzyły, a oddech stał się jeszcze szybszy. Nachylił się i pocałował ją w policzek, a następnie w ucho. Koniuszkiem języka muskał jej małżowinę, potem łagodnie ugryzł płatek jej ucha.

A potem zszedł niżej. Sophy zadrżała. Och, tak, miała szalenie wrażliwą szyję. Chciał odkryć wszystkie jej wyjątkowo czułe punkty.

Poczuł w sobie płomień, którego nie mógł już ugasić. Za późno, by się wycofać. W głębi ducha wiedział, że było za późno już od samego początku, kiedy pierwszy raz ujrzał ją na asfaltowym boisku przy magazynie. Nie ma sensu walczyć z przeznaczeniem.

Sophy spróbowała pocałować go w usta, lecz Lorenzo zrobił unik. Chciał być jedynym reżyserem tej sceny. Bardzo powoli rozpiął każdy guzik jej bluzki, następnie odgarnął poły, odsłaniając stanik. Tak jak się spodziewał: biała koronka w kwiatowe wzory. Nie szkodzi. I tak niedługo pozbędzie się całej garderoby, którą na siebie włożyła.

Poczuł nieodpartą potrzebę, by znowu ją pocałować. Nie w usta, tylko w miękką, kremową szyję. Wodził wargami po jej alabastrowej skórze, poczuł, jak pulsuje w przyspieszonym tempie. Nappełnił nozdrza jej zmysłowym zapachem. Odrzuciła w tył głowę. Teraz miał lepszy dostęp do tej wrażliwej części jej ciała. Ustami i językiem całował jej słodką skórę, powoli się zniżając, aż dotarł do jej obojczyków, a następnie w okolice piersi.

Sophy uniosła dłonie na wysokość jego bioder, wplotła palce w szlufki jego dżinsów i spróbowała przyciągnąć go do siebie. Stał nieruchomo jak posąg. Tak, chciał być

góram i uparcie się tego trzymał. Stała na palcach i przywarła do niego. Uśmiechnął się triumfalnie.

- Lorenzo... - Jej szept był gorący, nagły, nasycony pożądaniem.

Położył dłonie na jej biodrach. Wiedział, że jest głodna jego dotyku. Już niedługo... bardzo niedługo. Cieszył się, że ma na sobie spódnice, a nie spodnie.

- Lorenzo, proszę... - Jeszcze mocniej do niego przywarła.

Poczuł, jak Sophy wsuwa dłonie pod jego podkoszulek i wpija paznokcie w jego plecy. Postanowił się zrewanżować. Wsunął ręce pod materiał jej spódnicy.

Sophy odskoczyła jak oparzona.

Lorenzo zamarł z rękami w powietrzu.

Nie patrzyła na niego. Wzięła głęboki wdech.

- Bez obaw, jestem gotowa. I doskonale przygotowana - oświadczyła bez tchu, próbując coś wyciągnąć z kieszeni spódnicy.

Obserwował ją spod przymkniętych powiek. Wreszcie drżącą dłonią wyłowiła prezerwatywę. Zaraz jednak wypuściła ją z rąk na podłogę. Zakłęła pod nosem.

Lorenzo szybko podszedł do niej, położył dłoń na jej karku i przyciągnął do siebie.

- Nie potrzebujemy tego - oświadczył, po czym znowu przyssał się do jej szyi.

- Jak to? - zapytała zdziwiona.

Stłumił śmiech.

- Jeszcze nie teraz - odparł spokojnie.

- Nie teraz?

Napierała na niego swoim ciałem, kołysała biodrami, oddychała ciężko i głośno.

- Nie. Cierpliwości.

Nachylił się i pocałował jej dekolt, następnie wyłuskał jej pierś ze stanika i zachłannie ją pocałował. Sophy jęknęła. Lorenzo przytrzymał ją, by się nie osunęła bezwolnie na podłogę. Zacisnęła palce na jego muskularnych ramionach. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Wcale nie jesteś tak doskonale przygotowana - rzucił z przekąsem. - Nie na to, co zamierzam z tobą zrobić.

Spojrzała na niego na wpeł nieprzytomnym wzrokiem. Nic nie odpowiedziała. Pchnął ją delikatnie na fotel, po czym klęknął przed nią i rozchylił jej nogi.

- Co ty robisz?

- Maksymalizuję przyjemność - mruknął, gładząc jej uda. - To tak jak z produkcją wina, Sophy. Robienie najlepszego wina wymaga czasu. Cierpliwości. Łagodnego dotyku.

- Ale ja lubię mieć wszystko jak najszybciej z głowy!

- Wiem o tym. Dlatego spróbuję nauczyć cię cierpliwości. - Chciał, aby wszystko odbyło się powoli. Zbyt długo czekał na ten moment. Miał zamiar dokładnie zbadać każdy kawałek jej słodkiego ciała.

W zwolnionym tempie zaczął całować jej nogi. Sophy zamknęła oczy i odchyliła głowę. Och, tak... Jego zmysłowe, pełne usta pieściły jej gładką skórę, a każdy fragment jej ciała, którego dotykał, stawał w płomieniach.

- Lorenzo!

Nie mogła dłużej znieść tej tortury. Wreszcie wsunął dłonie pod jej spódnicę, palce pod bieliznę. Uniosła się, by mógł ją z niej zdjąć. Zacisnęła mocno oczy.

Jednak to, czego pragnęła najgoręcej, jeszcze nie nadeszło. Lorenzo zajął się teraz koronkowym stanikiem, wyłuskując z niego kremowe piersi. Dlaczego zwleka?

- Proszę, Lorenzo. Proszę...

- Nie - odrzekł, śmiejąc się pod nosem.

- Nie mogę już dłużej czekać!

- Możesz.

Bała się, że zaraz eksploduje, że rozsadzi ją głód, który zawładnął nią całą niczym potężny demon. Nagle poczuła usta Lorenza tam, gdzie koncentrowała się jej żądza. Wygięła się jak porażona prądem, z jej ust wydarł się głośny jęk. Unosiła się coraz wyżej na fali rozkoszy.

- Nie przestawaj. Proszę, nie przestawaj! - błagała go, dygocząc, chłonąc każdą chwilę tej nieziemskiej przyjemności.

Zatopiła dłonie w gąszczu jego włosów, odrzuciła w tył głowę.

Nie przestawał.

Fala unosiła ją coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie dotarła do miejsca, gdzie giną wszelkie myśli, znika świadomość i wszystko pochłania wirująca otchłań boskiej ekstazy.

Nie mogła myśleć, mówić ani nawet otworzyć oczu. Czuła łagodny dotyk jego dłoni, jakby tkających delikatną jak pajęczyna sieć, dzięki której mogła bezpiecznie opaść na ziemię i nie roztrzaskać się na milion kawałków.

Usłyszała, jak Lorenzo szepcze jej imię. Podniosła powieki.

Ujrzała przed sobą jego twarz rozświetloną niemal chłopcym uśmiechem. Wiedział doskonale, że udało mu się doprowadzić ją na wyżyny rozkoszy.

- To dopiero preludium - powiedział aksamitnym głosem.

Otworzyła usta, zdumiona i nieco przerażona, lecz nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Podniósł ją z fotela, jakby ważyła tyle co piórko, i zaczął iść w kierunku drzwi do dużego salonu.

- Nie, nie tam - wyszeptała.

Wskazała mu drugie drzwi. Posłusznie skręcił i zaniósł ją do jej pokoju. Ułożył ją na łóżku, wyprostował się i zdjął przez głowę podkoszulek.

- Rozbierz się, Sophy - rozkazał.

Była jednak zbyt pochłonięta obserwowaniem, jak on się pozbywa swojego ubrania. Wreszcie ujrzała go w całej okazałości. Widok zapierał dech w piersi. Wyglądał jak atleta ze starożytnej Grecji - a może raczej grecki bóg?

Posłał jej spojrzenie tak pełne pożądania i zachwyty, że sama poczuła się jak bogini. Jej ciało już zregenerowało się po wstrząsających przeżyciach sprzed kilku minut. Była gotowa przeżyć coś jeszcze bardziej ekstremalnego.

Podszedł do niej z gracją dzikiej pantery. Jego oczy były niemal zupełnie czarne i nieprzeniknione. Położyła swoją drobną dłoń na jego potężnej klatce piersiowej; czuła, jak się unosi i opada, a pod spodem bije mocno serce. Lorenzo wsunął ręce w jej sprężyste blond loki i lekko je pociągnął. Jej głowa opadła na poduszkę. Oplotła jego biodra nogami.

- Dobrze się czujesz? - zapytał gorączkowym szeptem.

- Nie - odparła. - Nie mogę się już doczekać.

Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami kontrastującymi z jego oliwkową karnacją.

- Mam ten sam problem.

Pocałował ją zachłannie, zanim zdążyła wziąć głęboki wdech. Nic nie mogło jej przygotować na to, co poczuła, kiedy wreszcie ich ciała się zespoliły i zaczęły wspólną podróż ku niemożliwej do opisania ludzkim językiem ekstazie, poza czasem, poza światem.

Wodził palcami po jej wilgotnej skórze. Ujrzał na jej czole kropelki potu i uśmiechnął się szeroko.

- No, proszę. Kto by pomyślał... - rzekł, delikatnie ocierając ręką jej czoło.

- Wbrew temu, co o mnie sądzisz, jestem istotą ludzką - odparła, nadal nie otwierając oczu.

- Twoja fryzura wciąż jest w idealnym porządku - zauważył zdumiony. - Jak ty to robisz?

Prawdę mówiąc, Sophy nie miała w tej chwili ochoty na konwersację, nawet tak błahą. Była wycieńczona, rozebrana, rozbrojona. Nie miała się za czym schować. Nie czuła się komfortowo w takich warunkach.

- Same tak się układają. Nic z nimi nie robię. - Wiedziała, że jej nie uwierzy. Mówiła jednak prawdę. Jej włosy same się skręcały w loki. Nie mogła mieć innej fryzury. Zawsze uważała, że to jeden z przejawów tego, jak nudną ma naturę.

- Chyba nigdy nie widziałem cię tak... nieruchomej - rzucił nagle.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Co masz na myśli?

Leżał na boku, z twarzą zwróconą ku niej i uśmiechem na ustach.

- Zawsze robisz milion rzeczy naraz. Wiecznie jesteś zabiegana i zajęta.

Wzruszyła ramionami.

- Pracuję w tak szybkim tempie, ponieważ chcę jak najprędzej mieć z głowy obowiązki, które muszę wypełnić - zdradziła rzeczowym tonem. - Są inne rzeczy, które chcę i lubię robić.

Uniósł się na łokciu i rozejrzał po pokoju. Zerknął na stolik.



- Masz na myśli robienie naszyjników?

Rozdrażniło ją to, z jaką łatwością zgadł.

- Tak. I innej biżuterii.

Lorenzo wyskoczył z łóżka i podszedł do stolika.

- Świetna robota - zaopiniował po chwili.

- Jesteś ekspertem? - Nie potrafiła przyjmować komplementów.

Brakowało jej wiary we własny talent.

- Nie, ale widziałem w życiu kilka naszyjników.

Nie wątpiła. Na pewno widział je na dekoltach niezliczonej ilości kobiet, z którymi robił to, co przed chwilą z nią. Starła się o tym nie myśleć. Przecież interesowało ją tylko jego ciało, a nie jego przeszłość, uczucia i tym podobne nieistotne sprawy.

Lorenzo zajrzał do skrzyneczki, w której leżały koraliki, części starej biżuterii, rozmaite ozdoby.

- Podoba mi się to, co robisz.

- Dziękuję.

- Widzę, że masz już kilka skończonych rzeczy.

Sophy zawahała się. Powiedzieć mu czy nie?

Poczuła w sercu dumę, która przebiła się przez jej nieśmiałość i niepewność. Chciała mu zaimponować. Chociaż odrobinę.

- Pokażę je wkrótce na wystawie.

Od razu jakby się w sobie skurczyła, padając ofiarą panicznego lęku. A co, jeśli nikomu się nie spodoba jej „świecidełka”? Jeśli nikt nie kupi nawet jednej rzeczy?

- Na jakiej wystawie?

- Niedługo tu, w Auckland, odbędzie się festiwal filmowy. Moja biżuteria będzie wystawiona we foyer.

- Świetnie. Na pewno twoje prace zrobią furorę. - Poczuła w środku przyjemne ciepło. Tak bardzo chciała wierzyć, że jej pasja ma sens.

Bąbelek podniecenia nagle jednak pękł.

- Na razie daleko mi do ukończenia kolekcji - wyznała ponuro.

Spojrzał raz jeszcze na stolik.

- To tutaj nad nią pracujesz?

- Czasami przy stole w jadalni, ale częściej tutaj.

- Z prostego powodu: nie chciała robić bałaganu, na wypadek gdyby nagle wpadła Rosanna z nieoczekiwaną wizytą.

Nie chciała dłużej ciągnąć tej rozmowy. Czuła się skrepowana. Usłyszała od niego komplement - szczerzy lub nieszczerzy. Wystarczy. Na szczęście Lorenzo jakby wyczytał to w jej myślach i wrócił do łóżka.

Wymknął się z jej pokoju, kiedy spała. Pilnował się, by jej przypadkiem nie dotknąć, by znowu nie obudzić w sobie tego niekontrolowanego pożądania, które w nim zrodziła. Zazwyczaj rozstawał się ze swoimi kochankami po śniadaniu - żegnał się z nimi słodkim pocałunkiem, uprzejmym uśmiechem i kilkoma miłymi słowami. Żegnał się na zawsze.

Z Sophy było inaczej. Nie byłby w stanie odegrać takiej sceny. Bał się jej. Bał się uczuć, które w nim wywoływała. Była niebezpieczna. Ich wspólne chwile były niesamowite. Nigdy z żadną kobietą nie było mu tak dobrze. Zbyt dobrze!

Stojąc przed jej domem i wpatrując się w niebo, które zaczynało jaśnieć, pomyślał, że nigdy nie powinien był się na to zgodzić. Za późno. Jedyne, co może teraz zrobić, to nigdy, przenigdy nie dopuścić, by taka noc się powtórzyła.

Obudził ją odgłos zamykanych drzwi. Otworzyła oczy i leżała kilka minut w bezruchu. Lorenzo chciał uciec, a ona nie chciała go zatrzymywać. Widocznie on również bał się krępujących chwil, które miałyby miejsce rano. Czy zostawił chociaż jakiś liścik? Przekręciła się na bok, żeby sprawdzić. Żadnej karteczki. Ani na poduszce, ani na prześcieradle. Może zostawił ją gdzie indziej? Położyła się na plecach i wbiła wzrok w sufit. Nie potrafiła zebrać myśli. Wreszcie wstała i przeszła do jadalni. Kolacja nadal stała na stole, nietknięta.

Wrzuciła jedzenie do kosza na śmieci i rozejrzała się po całym mieszkaniu, lecz nigdzie nie znalazła żadnego liściku.

Broniła się przed uczuciem rozczarowania, które jednak powoli zaczęło się wdzierać do jej serca. Za cztery godziny musi się stawić w pracy. Zapewne prędzej czy później spotka tam Lorenza. I co wtedy?

Nie było sensu wracać do łóżka. Zamiast tego Sophy wyjęła z szafy swój ulubiony granatowy kostium i białą bluzkę, następnie rozstawiła deskę do prasowania. Jakby na złość Lorenzowi, który gardził jej schludnością, zaczęła jeszcze dokładniej niż zwykle prasować swój strój. Wspomnienia ubiegłej nocy były zbyt intensywne i natarczywe, by mogła je od siebie odpędzić. Co za nieziemski, namiętne noc...

Miała wrażenie, że umarła, poszła do nieba, a następnie wróciła na ziemię, w jakiś sposób odmieniona. Najwyraźniej jednak on nie był aż tak zachwycony. W przeciwnym razie, mimo wszystko, zostałby z nią do rana. Powiedziałaby jej coś miłego. Lub, jeśli nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy w ostrym świetle dnia, przynajmniej by coś napisał.

Przestań się zadreczać! - usłyszała głos rozsądku. Przecież wiedziałaś, na co się godzisz...

Żałowała, że Rosanna jest w Wellington, a nie tu, w domu. Poprosiłaby ją o radę. Zapytałaby: Jak ty to wszystko robisz? Jak pozostajesz w dobrych relacjach z mężczyznami, z którymi się przespałaś? I jak udaje ci się ich zatrzymać przy sobie na dłużej niż jedną noc?

Najbardziej zależało jej na odpowiedzi na ostatnie pytanie. Wprawdzie Sophy wyraźnie widziała, i słyszała, że Lorenzo również czerpał wielką przyjemność z ich wspólnych namiętnych chwil, lecz prawdopodobnie dlatego, że, jak większość zdrowych mężczyzn, lubił seks. Tak naprawdę nie pragnie mnie, pomyślała. Po prostu poczęstował się czysto fizyczną przyjemnością, którą podałam mu na tacy.

Zaczynała żałować swojej decyzji. Co gorsza, piekielnie bolała ją świadomość, że dla niej ta noc była czymś absolutnie wyjątkowym, a dla niego - nie.

Kiedy Sophy, wybitnie niechętnie, dotarła do pracy, Kat poinformowała ją, że Lorenzo od rana jest poza biurem. Sophy była pewna, że celowo jej unika.

Trudno. Niech robi, co chce.

Usiadła przy biurku w swoim gabinecie i pozwoliła, by pochłonęło ją to, co ponoć robiła najlepiej - szybka, skuteczna praca. Sortowanie, odpisywanie, oddzwanianie, organizowanie, planowanie: W pewnym momencie zadzwoniła jej siostra, Victoria, z prośbą o to, by zrobiła zakupy dla rodziców oraz zawiozła ciepły posiłek do domu Cary.

Jak zwykle, Sophy się zgodziła.

Nie musiała już pracować w pełnym wymiarze godzin, więc postanowiła wcześniej wyjść z fundacji. Załatwiła wszystko, co obiecała siostrze, a nawet więcej. Cokolwiek, byleby poczuć się osobą potrzebną i pożyteczną. Cokolwiek, by nie myśleć o... Nawet unikała wypowiedziania w myślach jego imienia.

Gdy następnego dnia zjawiała się w fundacji, Lorenzo znowu był nieobecny. Tym razem puściły jej nerwy: czy on aby nie przesadza? - warknęła w myślach, trzaskając drzwiami do swojego gabinetu.

Pół dnia pracowała bez wytchnienia. Kiedy po zakończeniu chyba już setnej tego dnia rozmowy telefonicznej odkładała słuchawkę, ujrzała nagle w uchylonych drzwiach jego przystojną, poważną, tonącą w cieniu twarz.

- Wszystko w porządku?

- Tak - uśmiechnęła się sztucznie. - Naturalnie. Dziś miałam urwanie głowy, ale ze wszystkim się uporałam. Jutrzejsza zbiórka w twoim nowo otwartym barze jest już prawie dopięta na ostatni guzik.

- Doskonale.

Sophy czekała. Lorenzo milczał. A zatem to prawda, że mężczyźni nigdy, przenigdy nie chcą rozmawiać na ten temat - skonstatowała w myślach. Cóż, ona też nie zamierzała o tym wspominać. To już przeszłość. Postanowiła, że nie będzie ostentacyjnie oziębła i obrażona ani też nie będzie odgrywać roli zranionej i porzuconej. Postawi na bezosobową uprzejmość.

- Za minutę kończę pracę - oświadczyła. - Od dziś pracuję na pół etatu, tak jak wcześniej ustaliliśmy.

Lorenzo rozdrażnił ją, wchodząc do gabinetu, zamiast odejść i zostawić ją w spokoju. Wyjrzała przez okno, aby nie patrzeć na intruza.

- Wandale znowu pomazali twój mur. - Dokonała tego odkrycia dziś rano. Graffiti było ogromne. Zapierało dech w piersiach. Sophy może nawet wyraziłaby swoją pozytywną opinię, gdyby Lorenzo nie miał tak pochmurnej miny. - Nie słyszałeś, jak to robią? - Na pewno było ich kilku. Jeden dzieciak nie namalowałby tego typu ulicznego fresku w tak ekspresowym tempie.

- Mam głęboki sen - rzucił cierpko.

- Znowu zamalujesz ich dzieło czarną farbą?

Wzruszył ramionami.

- Nie. Na razie je zostawię.

- To dobrze - ucieszyła się.

Podobały jej się jaskrawe kolory. Mur wyglądał, jakby płonął; pokrywały go czerwone i złote wzory, zygzaki, spirale.

Wyłączyła komputer, odłożyła kilka segregatorów na półkę i wzięła swoją torebkę. Mogła już wyjść.

Lorenzo oparł się o framugę okna. Zaimponowała mu. Niezmiernie szybko i sprawnie poradziła sobie z tak ogromnym natłokiem obowiązków. Odkopła fundację spod lawiny listów, nieuregulowanych rachunków, tony rozmaitych papierów. Problem w tym, że jego potraktowała tak samo - jak kolejną rzecz, którą trzeba zrobić. I odfajkować.

Powinien zareagować na to wszystko wzruszeniem ramion. I pewnie by to zrobił, gdyby nie to przekłete pożądanie, które wszystko komplikowało. Nie pozwalało mu normalnie myśleć. Nie dawało mu spać. Ubiegłej nocy leżał bezsennie, Wsłuchując się w odgłosy ruchu ulicznego. Ileż razy to robił, wyobrażając sobie, że jest pasażerem jednego z przejeżdżających samochodów, który zawiezie go gdzieś daleko, daleko stąd... Wiedział jednak, że nie sposób uciec od siebie samego. Ani swoich demonów.

Wyszedł na zewnątrz. Przez godzinę biegał po okolicy, by zagłuszyć w sobie ten tumult sprzecznych emocji, pozbyć się nadmiaru niezdrowej energii. Bezskutecznie. Pod osłoną nocy namalował na murze kolejną kompozycję. Ciekawe, co by powiedziała Sophy, gdyby odkryła, że to on jest autorem graffiti? Kiedy dzieło było gotowe, z niezadowolaniem zauważył, że nadal jest sfrustrowany.

Nadal w środku płonie.

Wiedział, że tylko Sophy jest w stanie przynieść mu ukojenie. Szkopuł w tym, że była ona jednocześnie lekiem i chorobą. A przede wszystkim - nie była już nim zainteresowana.

- Mam rozumieć, że przyjdiesz na jutrzejsze otwarcie baru? - zapytał neutralnym tonem.

- A potrzebujesz mojej obecności?

- Tak. - Nawet nie miała pojęcia, jak bardzo. - Jesteś w dużej mierze odpowiedzialna za organizację tej imprezy, więc byłoby lepiej, gdybyś ujrzała swoje dzieło na własne oczy.

- Racja. W takim razie przyjdę. - Zatrzymała się w drzwiach, odwróciła i zapytała z irytująco uprzejmym uśmiechem: - Mogę przyjść z osobą towarzyszącą?

Lorenzo osłupiał. Wszystkie mięśnie w jego ciele nagle się napięły, aż do bólu. Z wielkim trudem otworzył usta, by odpowiedzieć:

- Oczywiście,

Kiedy Sophy dotarła na miejsce, bar był już po brzegi wypełniony ludźmi. Lorenzo rzeczywiście był królem Midasem biznesu. Każde jego przedsięwzięcie okazywało się wielkim sukcesem. Formalnie rzecz biorąc, był to wieczór inaugurujący działalność lokalu; zbiórka charytatywna odbywała się niejako przy okazji. Fundacja otrzymywała kilka procent z każdego sprzedanego na imprezę biletu.

Osobą towarzyszącą, którą na ten wieczór wybrała Sophy, była... Rosanna, która zaledwie kilka godzin wcześniej przyleciała do Auckland. Dzięki rozpaczliwym namowom i prośbom, Sophy udało się ją wreszcie nakłonić do wyjścia. Teraz Rosanna pewnym krokiem torowała sobie i swojej przyjaciółce drogę do baru. Miała w sobie to „coś”, wyczuwalne na kilometr, które kazało ludziom zawsze i wszędzie się na nią patrzeć z zachwytem lub zazdrością, a w tej chwili - rozstępować się przed nią niczym Morze Czerwone. Przyjaciółki zamówiły u barmana kolorowe koktajle. Rosanna odwróciła się i omiotła wzrokiem lokal.

- Fajna knajpa - oceniła.

Sophy stała nieruchomo jak mumia. Bała się, że jeśli się odwróci, zobaczy gdzieś Lorenza. Nie była na to gotowa. Jeszcze nie w tej chwili. Może kiedy wypije kilka drinków...

- O, mamusiu - westchnęła Rosanna, wachlując się z wrażenia smukłą, upięścienioną dłonią.

- Co się stało?

- Lorenzo na horyzoncie.

- O, nie...

Rosanna odwróciła się do Sophy i szepnęła jej do ucha:

- Widziałam, jak na ciebie patrzył.

- Czyli jak? - Nagle zrobiło jej się bardzo gorąco.

- Kotku, on chce cię pożreć - zaśmiała się Rosanna. - Szczęściara!

- Pracoholizm odebrał ci rozum - mruknęła Sophy, przytykając drinka do ust.

- Uwaga, zbliża się. Nie przedstawisz mnie naszemu rekinowi?

Sophy przełknęła alkohol. Poczowała, jak pali ją w gardle. Lorenzo stał za jej plecami. Czowała jego intensywną aurę każdą komórką ciała. Odwróciła się i niemal wpadła prosto na jego tors. Całe szczęście, że tym razem nie nagi.

- Lorenzo, to moja przyjaciółka, Rosanna. Rosanno, oto Lorenzo.

- Miło mi - rzekł miękki tonem. - Vance chce was poznać. To mój wspólnik i menadżer tego lokalu.

Lorenzo stanął u boku Sophy, aby zza jego pleców mógł wyłonić się Vance. Sophy kątem oka dostrzegła, że na jego widok Rosanna cała zeszywniała.

- Cześć, Vance - odezwała się Sophy, by przerwać krępującą ciszę.

Mężczyzna jednak nawet jej nie zauważył. Gapił się na Rosannę, która również wpatrywała się w niego bez słowa, gromiąc go wzrokiem. Zjeżyli się oboje jak starzy wrogowie, którzy nagle wpadli na siebie po latach.

- Nie jesteś zbyt stary na to, żeby się ubierać jak deskorolkowiec? - rzuciła Rosanna głosem ociekającym jadem.

- A ty nie jesteś zbyt stara na to, by cierpieć na anoreksję? - odciął się Vance.

Sophy była zdumiona tą ostrą wymianą zdań.

- Czy wy się znacie? - zapytała głupio.

- Spotkaliśmy się kilka lat temu - odparła jej przyjaciółka, nawet na nią nie zerknąwszy.

- Chodź, zatańczymy, Sophy. - Lorenzo chwycił ją za ramię i odciągnął na bok.

- Puść mnie! - zaprotestowała z ogniem. - Zostawiłam mojego drinka na barze.

- Kupię ci następnego.

Odwróciła się i odszukała wzrokiem swoją współlokatorkę, która nadal stała, prze-  
szywając Vance'a laserowym spojrzeniem.

- Myślisz, że nic się jej nie stanie? Wyglądają, jakby się mieli zaraz pozabijać.

- Nie martw się. Oboje są dorosłymi ludźmi - uspokoił ją.

- Rosanna to moja najlepsza przyjaciółka. Wcale nie jest taka twarda, na jaką wy-  
gląda.

Lorenzo wbił w nią swoje mroczne, pochmurne spojrzenie.

- Aż tak bardzo nie chcesz ze mną zatańczyć?

Wzruszyła ramionami.

- Nie, skądże. Prawdę mówiąc, wszystko mi jedno.

Muzyka dudniła potwornie głośno. Nie dało się rozmawiać, co Sophy przyjęła z  
ulgą. Z podziwem patrzyła, z jaką gracją porusza się monumentalne ciało Lorenza. Po-  
czuła, jak jej serce zaczyna mocniej bić. Wbiła wzrok w parkiet, by na niego nie patrzeć.  
Po chwili zbliżył się do niej i przyciągnął ją ku sobie. Ich ciała się zderzyły; Sophy miała  
wrażenie, że poleciały iskry.

- Jesteś na mnie wściekła, że wyszedłem bez słowa? - mruknął prosto do jej ucha.

- Nie. - Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. - Dobrze się stało.

- Doprawdy?

- Tak. Oszczędziłeś nam krępujących chwil.

- A teraz nie czujesz się skrępowana?

- Nie. - Pozorowała spokój, lecz w rzeczywistości aż się skręcała w środku. - Wy-  
bacz - rzekła nagle. - Mam niewygodne buty. Dzięki za taniec. - Stanęła w miejscu. - Bę-  
dę ci jeszcze dzisiaj do czegoś potrzebna? Mam na myśli sprawy związane z fundacją.

- Nie - warknął, odwrócił się na pięcie i wmieszał się w tłum.

Krew w jej żyłach zawrzała. Czego on się spodziewał? - pomyślała, oburzona.  
Miałam paść przed nim na kolana? Błagać go o kolejną wspólną noc? Po moim trupie!

Wróciła do baru, przy którym stała Rosanna z nowym drinkiem. Wręczyła go  
Sophy i powiedziała cynicznym tonem:

- Prześpij się z nim. A potem o nim zapomnij, jeśli tak będzie ci wygodnie.



Sophy nie miała śmiałości zdradzić, że nie omieszkała już tego uczynić. To znaczy, spędziła z nim upojną noc. Nie mogła bowiem niestety, ot tak, wyrzucić go z głowy. Po pierwsze, pracowała w jego fundacji. Po drugie, jak się przed chwilą okazało, ich relacje były teraz jeszcze gorsze i bardziej napięte, niż myślała.

- Co to za historia z tym Vance'em? - zapytała, by zmienić temat. - To było ostre spięcie. Nigdy nie widziałam u ciebie takiej reakcji. Rosanna wzruszyła ramionami.

- Niewyrównane rachunki - odrzekła.

Sophy westchnęła i odstawiła drinka.

- Mam już dość tej imprezy. Wracam do domu. Idziesz ze mną?

- Nie. Muszę wyrównać rachunki. Dziś w nocy.

Ton Rosanny był dziwny, nieco nawiedzony.

- Mówisz poważnie? - Sophy uważała, że to zły pomysł, by jej przyjaciółka, będąc w takim stanie, została w tym miejscu.

Rosanna zawsze była zblazowana i zdystansowana, a po spotkaniu z Vance'em - roztrzęsiona i nieobecna myślami.

- Śmiertelnie poważnie. - Jej głos znowu zabrzmiał jak głucho echo.

Sophy chciała ją nadal przekonywać, by wróciła z nią do domu, lecz nagle ujrzała kątem oka Lorenza stojącego kilka kroków od niej. Po jego minie poznała, że podsłuchiwał.

- Podwieźć cię do domu?

- Zamówię taksówkę.

- Po co? Pojedź ze mną.

- Nie zostajesz tutaj dłużej?

Pokręcił głową. Sophy uznała, że głupotą byłoby odmówić. Przecież przysięgła sobie, że nie będzie się zdradzać przed nim ze swoimi prawdziwymi uczuciami.

- W porządku. Zabiorę się z tobą.

W samochodzie Lorenzo milczał jak zakłęty. Sophy rzuciła parę komplementów pod adresem lokalu. Odpowiadał monosylabami, więc również zamilkła. Kątem oka zerkała na jego dłonie zaciśnięte na kierownicy. Dłonie, które tak niedawno jej dotykały,

pieściły, koily. Poczwała miazdzący žal i smutek. Zatrzymał się wreszcie przez domem Rosanny.

- Dzięki za podrzucenie - powiedziała przez okno auta, stojąc już na chodniku.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł lodowatym tonem, wwiercając w nią twarde spojrzenie.

Dlaczego pała do mnie taką nienawiścią? Była zdeorientowana. Czego on ode mnie chce? - pomyślała z rosnącą irytacją. Będzie mi dzień w dzień zatruwać życie, dopóki nie odejdę z fundacji?

Lorenzo zaklął pod nosem i wcisnął pedał gazu, ruszając spod jej domu z piskiem opon. Dlaczego, do diabła, ją nękam? Przecież dała mi jasno do zrozumienia, że niczego już ode mnie nie chce. Jedna noc - i koniec. Więc dlaczego, do cholery, zachowuję się jak skończony idiota?

Odpowiedź była prosta i brutalna: pożądanie, które w nim wzniecała, doprowadzało go do szału. Chciał, by przyznała, że czuje to samo, i pragnie znowu się z nim spotkać. Sam na sam. W łóżku.

Zacisnął ręce na kierownicy. Pędził swoim autem przez ciemną, gęstą noc. Wiedział, że musi jak najszybciej wrócić do domu, zanim popełni jakieś głupstwo. Czuł, jak kumuluje się w nim negatywna energia - ślepa furia, żądza destrukcji. Odrodził się mrok, którym spowita była niegdyś jego dusza. Mrok, który dawno temu, jak czarna dziura, niemal pochłonał jego życie.

Wiedział, że tej nocy nie zaśnie. Będzie walczył ze swoimi demonami.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Rosanna nie wróciła na noc do domu. Przysłała jednak rano wiadomość, że wszystko jest w porządku. Sophy na siłę wepchnęła w siebie śniadanie. Wiedziała, że musi wyrzucić Lorenza ze swojej głowy. I, co najgorsze, nie tylko głowy...

Całą niedzielę nie wyściubiła nosa z mieszkania, lecz w poniedziałek tak jak zwykle zjawiła się w pracy dziesięć minut przed czasem. Wspinając się po schodach, usłyszała na górze jakieś głosy. Stała w progu swojego gabinetu jak rażona gromem. W jej fotelu siedziała jakaś dziewczyna. Bardzo ładna, młoda dziewczyna. Kat pokazywała jej, jak korzystać z komputera.

Sophy dowiedziała się od Kat, że dziewczyna ma na imię Jemma i od dziś będzie jej „pomagać”. Nie potrzebuję pomocy! - zaprotestowała w myślach. Sama zapanowała nad chaosem, który wdarł się do fundacji. Ze wszystkim wyśmienicie dała sobie radę. Jemma, skądinąd sympatyczna i całkiem bystra, będzie tylko przeszkadzać... Nagle Sophy zrozumiała.

Lorenzo chciał się jej pozbyć! Tak, bez wątplenia o to mu chodzi. Poczowała jednocześnie ukłucie zazdrości, napad złości oraz przyływ negatywnej energii, tak bardzo do niej niepodobnej. Odkąd poznała Lorenza, przestała panować nad swoimi emocjami w takim stopniu, jak kiedyś.

Odwróciła się na pięcie. Zajrzała do wszystkich pokoi w budynku w poszukiwaniu Lorenza. Znalazła go dopiero w piwnicy, w której znajdował się jego mały skład wina. Ujrzała go w rogu. Czytał etykietę jakiegoś zapewne horrendalnie drogiego trunku.

- Zatrudniłeś nową pracownicę - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Owszem - mruknął spokojnie.

- Po co? Sam powiedziałeś, że świetnie się spisuję na swoim stanowisku.

- Zgadza się. Pomyślałem zatem, że skoro zażegnałaś kryzysową sytuację, teraz ze wszystkim da sobie radę Jemma.

Przeszyła go ostrym jak brzytwa spojrzeniem.

- Chcesz się mnie pozbyć - wygarnęła mu wprost.

- Po co się tak unosisz? Czyż nie powiedziałaś, że chcesz się teraz zająć czym innym? Swoim hobby?

- To prawda. Ale nie dlatego ją przyjąłeś. Nie możesz znieść napięcia między nami. Nie możesz znieść mnie. Chcesz, żebym zniknęła ci z oczu.

Nieoczekiwanie na jego twarz wstąpił uśmiech.

- Przeciwnie. Chodź ze mną.

Chwytał ją mocno za rękę. Nie szarpała się w obawie, że złamie jej nadgarstek, co uniemożliwiłoby jej dokończenie swojej kolekcji. Zaprowadził ją na pierwsze piętro do jakiegoś pustego pomieszczenia. Zamknął drzwi, puścił ją i oznajmił:

- Oto, dlaczego zatrudniłem nową dziewczynę.

Sophy rozejrzała się dookoła, kompletnie zdezorientowana. Pokój był prawie zupełnie pusty. Na środku stał jedynie duży stół, a wokół niego kilka krzeseł.

- Nie rozumiem.

- Pozwól, że cię oświecę. Możesz się tutaj zainstalować, aby spokojnie dokończyć pracę nad swoją biżuterią. Słowem: oto twoja pracownia.

Wlepiła w niego zdumione spojrzenie.

- Żartujesz?

- Nie. Jeśli potrzebujesz jakichś bardziej fachowych narzędzi, daj mi znać. Możesz tu pracować popołudniami, a nawet nocami. Chcę, żebyś była pod ręką, na wypadek gdyby Jemma potrzebowała twojej pomocy.

Poczuła, jak ulatuje z niej gniew.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

Zrobił stropioną minę.

- To miała być niespodzianka. Miła niespodzianka - bąknął ponuro.

- Och... A dlaczego chciałaś mi zrobić niespodziankę?

Uciekł wzrokiem.

- Nie wiem.

Kłamał. Wiedział. Sophy czekała na odpowiedź.

- Bardzo się zasłużyłaś dla fundacji - mruknął wreszcie. - To forma podziękowania.

Coś jeszcze musiało się za tym kryć, była tego pewna. Spojrzała na niego, czując, jak serce zaczyna jej łomotać, niemal łamiąc żebra. Podeszła bliżej. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Była podekscytowana, wdzięczna, oszołomiona.

Stała na palcach i musnęła wargami jego policzek, niemal dotykając ust. Następnie szepnęła mu do ucha:

- Dziękuję, Lorenzo.

Poczuła na swoich ramionach jego dłonie.

- Sophy... - Westchnął. Poglądził jej ramiona. - Pięknie pachniesz.

- Naprawdę?

- Tak. Wszędzie czuję twój zapach.

- Zwyczajny szampon. Dostępny w każdej drogerii.

Zaśmiał się łagodnie.

- Nie. To twój zapach. Unikalny.

Przymknęła powieki. Wiedziała, że w tej chwili oboje czują to samo. Tęsknotę za tym, co razem przeżyli tamtej nocy.

- Jeśli znowu byśmy to zrobili... to nikt by się o tym nie dowiedział. To byłby nasz słodki sekret.

- Chcesz utrzymywać nasz romans w tajemnicy? - Odsunęła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Nie chcę, żeby plotkowano o nas w biurze.

- Czyli chcesz, żebyśmy w nocy kochali się do utraty tchu, a w dzień udawali, że nic nas nie łączy? O to ci chodzi? - Znowu podeszła do niego. Gniew dodał jej odwagi. - Wyjaśnijmy coś sobie, Lorenzo. Teraz ja będę dyktować warunki. To ja zdecyduję, ile wspólnych nocy ze sobą spędzimy. Zakończę nasz romans, kiedy będę miała dość - oświadczyła.

- Dobrze - przytaknął. - A teraz chodź ze mną na górę - wyszeptał gorączkowo.

Jego dłonie już wsuwały się pod jej ubranie, głodne jej nagiej skóry.

- Przed chwilą powiedziałeś, że nie chcesz się tutaj ze mną kochać.

- Zmieniłem zdanie.

Położyła rękę na jego rozpalonym policzku.

- A jeśli przyłapie nas Kat? Albo Jemma? Albo ktokolwiek inny?

Zacisnął powieki.

- Sophy, błagam...

Omiotła wzrokiem jego wykrzywioną udręką twarz.

- Ja też ciebie pragnę. - Pocałowała go i poczuła, jak z jego ciała ulatuje napięcie.

A więc nie tylko mnie dręczył ten niezaspokojony głód? - pomyślała, zdziwiona. On też cierpiał, tęsknił? Nęciła ją perspektywa pójścia z nim teraz na górę, do jego sypialni.

Rozdzwonił się jej telefon. Po chwili ucichł. Po czym znowu zaczął dzwonić. Sophy przerwała pocałunek.

- Muszę odebrać.

Spojrzał na nią marszcząc brwi.

- Oczywiście. Jak zwykle - burknął.

Wyjęła z torebki komórkę.

- Cześć, Ted. Co się dzieje? - Słuchała przez chwilę brata. - Chcesz, żebym to za ciebie odebrała? Jasne, nie ma problemu. Podaj mi adres.

Wyjmując z torby długopis i notes, dostrzegła, jak Lorenzo z kamienną twarzą wychodzi z pokoju.

Po dziesięciu minutach wróciła do gabinetu. Zastała w nim Jemmę.

- Cieszę się, że do nas dołączyłaś - rzuciła przyjaznym tonem Sophy.

Dziewczyna nie zareagowała. Spoglądała przez okno. Sophy usłyszała znajomy odgłos dobiegający z podwórka. Lorenzo znowu odbijał tę swoją przeklętą piłkę. Spojrzała na murek. W ciągu weekendu jeszcze większa jego część pokryła się kolorowym graffiti.

Przez resztę dnia nie widziała Lorenza. Kiedy jednak wieczorem zastukał do drzwi jej mieszkania, nie była ani odrobinę zaskoczona.

- Chcesz się wprosić na kolację? - zapytała z przekąsem.

Był ubrany od stóp do głów w czerń: czarne buty, czarne spodnie, czarny sweter w serek.

- Nie po to tu przyszedłem.

- A po co?

Stał nieruchomo, milczał. Przypominał chmurę gradową. Doskonale wiedziała, jaki jest cel jego wizyty.

- Wejdz.

Lorenzo w środku przywitał się z Rosanną, która akurat znowu wylatywała z Auckland.

- No, cóż. I tak oto zostaliśmy sami - rzuciła Sophy, stojąc na środku salonu ze splecionymi dłońmi.

Stał kilka kroków od niej. Pożerał ją wzrokiem. Promieniował żądzą, która sprawiała, że po całym ciele przechodziły ją przyjemne ciarki.

- Rozgość się. Możesz sobie włączyć telewizor - zażartowała, tłumiąc figlarny chichot. Chciała jakoś rozładować to nieznośne napięcie. Wiedziała, co zaraz nastąpi. Długo na to czekała. Długo za tym tęskniła. Była niemal pijana ekscytacją, która wibrowała w każdej jej komórce. - Ja idę do swojego pokoju, a ty...

Złapał ją, zanim zdążyła tam dojść. Niczym potężny, wygłodniały drapieżnik, który upolował wreszcie swoją ofiarę.

Sophy żałowała, że dni są takie długie. Z utęsknieniem wyczekiwała nocy. Czasem Lorenzo pojawiał się pod jej drzwiami, zanim sama pod nie dotarła. Nigdy jednak nie zaproponował, by pojechali tam wspólnie jego autem. Czy fakt, że ich romans był pilnie strzeżoną tajemnicą, był dla niego dodatkową podniętą? Elementem gry wstępnej? Po wspólnych upojnych chwilach rozmawiali o wszystkim i o niczym. Nigdy jednak na żadne osobiste tematy. Sophy nie wspominała ani słowem o swojej rodzinie, ponieważ wiedziała, że on nigdy nie wypowie się o swojej. - Dla tego mężczyzny niemal wszystko, co osobiste, było tematem tabu.

Pewnego razu wyrwało jej się mało dyskretne pytanie.

- Ile miałeś w życiu kobiet, Lorenzo?

Chwilę wcześniej był w dobrym nastroju, śmiał się i żartował; teraz nagle zaczął bić od niego arktyczny chłód.

- Umówmy się: ty mi opowiesz o swojej najlepszej i najgorszej kochance, a ja zrobię to samo i opowiem ci o moich narzeczonych - zaproponowała lekkim tonem.

- Posłuchaj, Sophy. - Uniósł się na łokciu. Jego twarz była jak wykuta z lodu. - Umawiamy się na seks. Czysty seks, to wszystko. Łóżko to nie konfesjonał. Jeśli pociągają cię tego typu pogawędki, równie dobrze możemy się w ogóle do siebie nie odzywać,

Sophy poczuła się głęboko dotknięta jego okrutnym, grubiańskim komentarzem. Postanowiła przekuć gniew w bezlitosny sarkazm.

- Czyżby pan Lorenzo kiedyś się w kimś zakochał? Jak się skończyła ta historia? Rzuciła cię? Powiedziała ci, że nie jesteś dla niej dość dobry? Przeszkadzało jej, że jesteś biednym chłopcem z marginesu społecznego? - Nie rozpoznawała swojego głosu, wprost kapiącego jadem, przesyconego okrutnym szyderstwem. Nie mogła się jednak powstrzymać.

Gwałtownie wstał i zrzucił z siebie kołdrę.

- Mylisz się - warknął z furją. - To ja ją rzuciłem.

- Och, oczywiście! Jakżeby inaczej! - odparła teatralnym głosem. - Przecież Lorenzo uwielbia porzucać kobiety, prawda? Powiedz jeszcze, dlaczego to zrobiłeś? Czyżby żądała od ciebie zbyt wiele?

Stał odwrócony do niej plecami. Był rozjuszony. Nie czuła jednak lęku, tylko mroczną satysfakcję.

Wreszcie trafiłam w jego najczulszy punkt, pomyślała.

- Biedny Lorenzo! Czyżby tamta kobieta popełniła głupi błąd i zaczęła oczekiwać od ciebie wsparcia, szczerości, miłości?

- Nic z tych rzeczy - zaprzeczył z żarem. - Po prostu przestała mnie podniecać.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Czyżby to było ostrzeżenie rzucone pod jej adresem? Wyszła z łóżka i zarzuciła na siebie koszulę. Tym razem nie chciała, by został z nią do rana.

- Mam dziś jeszcze mnóstwo pracy. - Wskazała głową stolik, na którym rozłożone były jej projekty.

- Chcesz, żebym wyszedł?

Wzruszyła ramionami.

- W każdej chwili może się pojawić Rosanna - dodała po chwili.

- Boisz się, że usłyszysz, jak krzyczysz z rokoszy? - prychnął pogardliwie.



Oblała się rumieńcem. Nic nie odpowiedziała. Lorenzo ubrał się i wyszedł bez słowa. Sophy przeszła do salonu i wyjrzała przez okno. Ku jej zdumieniu, Lorenzo nie wsiadł do auta, tylko ni - stąd ni zowąd zaczął biec, prosto przed siebie, aż rozpląnął się w ciemnej nocy.

Wrócił dopiero po czterdziestu minutach. Na jego koszulce widniały ciemne plamy potu. Nawet nie zerknął w stronę jej domu. Wsiadł do auta i ruszył z piskiem opon.

Dwa dni później spotkała go przy wejściu do siedziby fundacji.

- Sophy, mogę cię prosić na chwilę?

Zerknęła na Kat, by się upewnić, że dziewczyna nie usłyszała lodowatej nuty w jego głosie. Chyba nadal nikt w biurze nie domyślał się, że coś ich łączy.

Wyraźnie był na nią wściekły. Wczoraj nie widziała go ani razu w pracy. Po raz pierwszy od tygodnia nie przyszedł do niej w nocy. Nawet nie zostawił wiadomości na jej automatycznej sekretarce. Sophy nie mogła zasnąć. Czy była uzależniona od ich spotkań?

Zaprowadził ją na parking do swojego samochodu i kazał jej wsiąść.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, zapinając pasy.

Lorenzo w okamgnieniu uruchomił silnik.

- Niedługo się dowiesz. - Nastawił głośno muzykę, by wyeliminować możliwość konwersacji.

Sophy zatopiła się w myślach. Jechali bardzo długo. Nagle podskoczyła na fotelu.

- Lorenzo! Przywiozłeś mnie na lotnisko?

- Tak. W samą porę.

- Nic nie rozumiem. Dokąd lecimy?

- Nigdy nie wsiadłaś na pokład samolotu, nie wiedząc, dokąd leci?

Potrząsnęła głową.

- W takim razie dziś będzie twój pierwszy raz.

- Ale...

- Nigdy w życiu nie zaryzykowałaś? - przerwał jej z żarem. - Nie zachowałaś się spontanicznie? Nie zrobiłaś czegoś szalonego?

Odkąd go poznała, kilka razy to zrobiła. Z nim. Przez niego. Nie chciała jednak teraz wdawać się w nieistotną dyskusję.

Wyskoczył z auta i otworzył jej drzwi.

- Nie masz ochoty na małą przygodę? - zapytał dziwnie pogodnym tonem.

- Czy to będzie... bezpieczne? Legalne? - wydukała niepewnie.

Zaśmiał się głośno i wywrócił oczami.

- W zupełności. Nie spodziewaj się Bóg wie czego, Sophy, bo tylko się rozczarujesz.

Wysiadła z auta. Dostrzegła, że załadował na wózek podejrzanie dużą walizkę.

- Wrócimy do Auckland jeszcze dziś wieczorem... prawda?

- Nie.

- A kiedy?

- W niedzielę.

- W niedzielę?! - powtórzyła zatrwożona. - Nie mogę! Obiecałam bratu, że upiekę babeczki na przyjęcie urodzinowe mojej siostrzenicy. Nie mogę ich zawieść!

- Czy musisz być obecna na tym przyjęciu?

- Nie. To kameralna impreza dla maluchów i ich rodziców.

Namyślał się przez chwilę.

- Zadzwoń do najlepszej cukierni, jaką znasz. Zleć im zrobienie babeczek. Zamów dostawę pod wskazany adres.

- To się nie uda. Takie zamówienia składa się kilka dni wcześniej - zauważyła przytomnie.

- Zapłać im podwójną stawkę. Na pewno się zgodzą. Uwierz mi. Ja pokryję koszty.

Sophy dała się wreszcie przekonać. Wykonała kilka telefonów i udało się wszystko sprawnie załatwić. Ledwie odetchnęła z ulgą, gdy w jej głowie pojawił się kolejny problem.

- Nie mam ze sobą żadnych ubrań!

- Nic nie szkodzi.

- Jak to? Będziemy mieszkać na plaży dla naturystów?

Lorenzo zaśmiał się łagodnie.

- Tam, gdzie lecimy, są sklepy. Wszystko kupimy ci na miejscu - uspokoił ją.
- Szczoteczkę do zębów też?
- Też.

Wsiedli na pokład samolotu. Pilot zdradził cel podróży - Christchurch. Miłe miasto. Sophy nie była w nim od lat.

Kiedy wylądowali i wypożyczyli samochód, Lorenzo wjechał na autostradę wiodącą na północ.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, zdezorientowana.
- Już wkrótce się dowiesz.

Przejechali przez miasto Waipara, jeden z najładniejszych regionów winnych Nowej Zelandii. Pejzaże przesuwane za oknem samochodu były niesłychanie malownicze. Po godzinie dojechali do Hanmer Springs, górskiego uzdrowiska położonego w samym sercu strefy geotermicznej. W centrum miasteczka zrobili niezbędne zakupy, następnie wjechali na malownicze wzgórze, gdzie mieścił się ustronny, górski kurort. Lorenzo zatrzymał auto przy urokliwym drewnianym domku letniskowym. Otworzył go kluczem i wniósł do środka walizkę. Wyjął z niej wszystkie niedokończone projekty, niezbędne narzędzia i przyrządy. Musiał je zabrać z jej pracowni, zanim tego ranka zjawiała się w fundacji.

- Nie pozwolę ci zaprzepaścić tej szansy - rzekł z poważną miną.
- Lorenzo...
- Oddaj mi swój telefon komórkowy.

Wyłowiła aparat z torebki i położyła go na jego dłoni. Lorenzo wyłączył telefon i wepchnął go do kieszeni.

- Teraz już nic ci nie będzie przeszkadzać. Nie masz już żadnych wymówek. Musisz ukończyć swoją kolekcję.

Nie protestowała.

- Ja jadę teraz do Waipara. Mam tam coś do załatwienia. Wrócę wieczorem. - Dostrzegł smutek na jej twarzy. - Zamówiłem ci na czwartą masaż.

- Naprawdę? - ucieszyła się.

- Tak. Ale obiecaj mi, że wcześniej, przez te kilka godzin, oddasz się bez reszty pracy.

- Obiecuję.

- Aha, jeszcze jedna rzecz. Niestety będziesz musiała pofatygować się do spa na piechotę. Zabieram auto.

- Nic nie szkodzi - zapewniła go. - Dzięki.

Mimo wszystko była rozczarowana. Tak strasznie, obłądnie go pragnęła. W trakcie podróży wyobrażała sobie, że cały ten długi weekend spędzą razem, od rana do nocy. Po chwili jednak pomyślała, że przecież to wszystko dla jej dobra. Któregoś dnia podziękuje mu za to, że na pierwszym miejscu postawił jej przyszłość, a nie swoją przyjemność.

Pocałował ją na pożegnanie i odjechał.

Sophy z entuzjazmem zabrała się do pracy. Warunki miała idealne: cisza, spokój, brak telefonu, piękny widok za oknem, który sprzyjał natchnieniu. W pewnym momencie ciszę przeszył ostry dźwięk. Dzwonił telefon. Sophy zerwała się z krzesła. Znalazła zawieszony na ścianie telefon stacjonarny.

- Halo?

- Musisz już wyjść. - Usłyszała w słuchawce głos Lorenza. - W przeciwnym razie spóźnisz się na masaż.

- Och, jest już czwarta?

- Prawie. Widzę, że dotrzymujesz obietnicy i zapamiętała pracujesz.

- Tak. Dzięki. Muszę lecieć!

Dotarcie do spa zajęło jej pięć minut. Biegła truchtem, podziwiając malownicze, niemal bajkowe krajobrazy. Z szerokiej oferty usług, które świadczyło spa, wybrała masaż całego ciała, łącznie z twarzą. Masażystka była fenomenalna. Zafundowała Sophy półtoragodzinny błogostan, a następnie zostawiła ją samą, by odpoczęła. W pomieszczeniu znajdowało się jacuzzi. Sophy, leżąc na brzuchu i wsłuchując się w hipnotyzujące pluskanie strumyka płynącego za oknem, niemal zasnęła.

- Czy jest pani gotowa na masaż?

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się szeroko. Głos był znajomy. Uteśkniony.

- Już miałam masaż. Dziękuję, nie skorzystam.

- Nalegam. Mój masaż będzie wyjątkowy...

Poczuła na plecach jego elektryzujące dłonie. Błyskawicznym ruchem zdjął jej bikini i odwrócił ją na plecy. Sophy odkryła, że jest zupełnie nagi.

- Co robisz? Tu wszędzie są ludzie...

- Zamknąłem drzwi - uspokoił ją.

- Ale... i tak nas usłyszą - rzekła bez tchu.

- Nie nas, tylko ciebie. - Błysnął szelmowskim uśmiechem.

Miała na to sposób. Aby w momentach uniesienia powstrzymać się od krzyku, nie odrywała ust od jego warg i wbijała paznokcie w jego szerokie plecy. Co wznieciło w nim jeszcze większy ogień...

Dzięki temu było im nawet lepiej niż zazwyczaj.

- Czy ktoś wie o twojej wystawie?

Siedzieli w jacuzzi, odpoczywając po cielesnej uczcie.

- Tylko Rosanna - odpowiedziała rozleniwionym tonem. - To ona mi ją załatwiła. Jeden z jej aktualnych narzeczonych jest sponsorem festiwalu filmowego.

- Nikt inny nie wie?

- Nie.

Westchnął głośno.

- Dlaczego nie chcesz powiedzieć o tym swojej rodzinie?

- Powiem im. W odpowiednim momencie. Chcę, żeby zobaczyli i ocenili moją biżuterię, nie wiedząc, że to moje dzieło.

- Bardzo ci zależy na ich opinii, prawda?

- Tak. Chcę, by byli ze mnie dumni.

- Na pewno już teraz rozpiera ich duma, że mają tak cudowną córkę - powiedział aksamitnym tonem.

Uśmiechnęła się, lecz wiedziała, że Lorenzo jest w błędzie. Zawiodła rodziców. Nie spełniła ich oczekiwań. Nie chciała jednak psuć sobie tych przyjemnych chwil myśleniem na bolesny temat.

Lorenzo nagle wstał. Jego nagie, atletyczne, idealne ciało błyszczało i lśniło, ociekając wodą. Sophy przełknęła ślinę, podziwiając ten zapierający dech w piersi widok.

- Idziemy - zakomenderował.
- Jak to? Dokąd?
- Moi znajomi przyjeżdżają dziś do Hanmer. Zjemy z nimi kolację.
- W restauracji?

Przytaknął.

- W co mam się ubrać? W bikini?
- Mnie by to zupełnie nie przeszkadzało, ale...
- Nie wzięłam ze sobą żadnych ubrań! - rzuciła z desperacją.

Lorenzo mruknął przeciągle i podrapał się po głowie. Wreszcie powiedział:

- Chodź. Mam pewien pomysł.

Jak się okazało, nie każdy pomysł Lorenza był strzałem w dziesiątkę. Zasugerował, by na kolację udała się w jego zapasowych džinsach, które nawet spięte paskiem ledwie trzymały się na jej biodrach. Do tego włożyła T-shirt kupiony na stoisku z pamiątkami w spa. Jej ubiór był daleki od tego, co uznawała za szykowny strój wyjściowy. Najgorsze jednak było to, że chodzenie w spodniach Lorenza... podniecało ją.

Na szczęście Charlotte i Rob Wilson, sympatyczna para w średnim wieku, też nie byli przesadnie wystrojeni. Rob, biznesmen działający w przemyśle winiarskim, od dawna robił interesy z Lorenzem. Natomiast Charlotte, jak się dowiedziała Sophy, znała Lorenza od przeszło piętnastu lat.

- Kiedyś w czasie wakacji pracował na plantacji mojego męża. Zrywał winogrona - opowiadała kobieta. - Był wtedy nastolatkiem. Potem zaczął przyjeżdżać z Aleksem. W jego towarzystwie zawsze czuł się różnie. Nigdy w życiu nie spotkałam nikogo tak pracowitego jak Lorenzo. Nic dziwnego, że zrobił oszałamiającą karierę.

Niestety, Sophy nie udało się dłużej porozmawiać z Charlotte w cztery oczy. Rob i Lorenzo omówili swoje interesy i zasiedli do kolacji. Wieczór upłynął w miłej, pogodnej atmosferze. Sophy cieszyła się, że Lorenzo publicznie okazuje jej uczucie, dotyka jej przy każdej sposobności, wypowiada się o niej w samych superlatywach.

Wrócili autem do wynajmowanego domku. Lorenzo zauważył, że Sophy jest zmęczona i senna; powieki same jej opadały. Wprowadził ją do środka i włączył światło.

- Intensywnie dziś pracowałaś - powiedział, spoglądając na stół, przy którym Sophy w ciągu dnia siedziała nad swoją biżuterią.

Dostrzegł leżący na kawałku atłasu już ukończony naszyjnik. Był zachwycający.

- Załóż go dla mnie - poprosił.

- To tylko nieciekawy wisiołek - odparła, deprecjonując swoje dzieło.

Nadal nie wierzyła, że tworzy coś wyjątkowego.

- Jest piękny. Jesteś bardzo utalentowana - powiedział szczerze. - Dla lepszego efektu, najpierw zdejmij podkoszulek.

Sophy momentalnie przestała być senna. Uśmiechnęła się zmysłowo i wykonała jego polecenie. Następnie założyła naszyjnik, który wyglądał zjawiskowo na jej nagim dekolcie. Błękit kamieni idealnie współgrał z błękitem jej oczu.

Lorenzo chłonał jej widok, zachłystując się pięknem, dławiąc się swoim pożądaniem. I kolejny raz czuł, jak traci kontrolę nad swoimi emocjami. Tak długo pracował nad opanowaniem sztuki trzymania ich na wodzy, a gdy spotkał Sophy, cały ten długoletni wysiłek poszedł na marne. Dlaczego to pożądanie nie słabnie? - dziwił się, targany niepokojem. Dlaczego jest coraz silniejsze, coraz dziksze? Znowu przegrał.

Szybkim krokiem podszedł do Sophy. Chwycił ją w ramiona, przycisnął i pocałował, mając wrażenie, jakby skoczył prosto w ogień.

Leżeli pogrążeni w ciemności, otuleni nią niczym ciepłym kocem.

- Powiedz mi coś o sobie - poprosiła.

- Co?

- Cokolwiek.

- Czy naprawdę musimy...

- Proszę - przerwała mu. - Nic nie wiem o twojej przeszłości.

Milczał bardzo długo. Zasnął? Położyła dłoń na jego klatce piersiowej. Oddychał powoli, głęboko. Nagle poczuła, jak wstrząsa nim lekki dreszcz.

- W dzieciństwie katował mnie ojciec. Byłem jego workiem treningowym. Któregoś dnia zabrali mnie od niego. Tułałem się od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Nie potrafiłem się nigdzie zadomowić. Przystosować.

Gwałtownie odwróciła głowę, zaszokowana jego wyznaniem. W ciemności widziała jedynie kontur jego męskiej twarzy.

- Nie jestem taki jak mój ojciec - ciągnął dalej. - Nigdy nie uderzyłem żadnej kobiety, Sophy. A jeśli zdarzyło mi się uderzyć jakiegoś faceta, to tylko w obronie własnej.

Wierzyła mu na słowo.

- Miałeś ciężkie dzieciństwo - rzekła ze współczuciem.

- Często pakowałem się w tarapaty. Przez własną głupotę.

- Co takiego strasznego masz na sumieniu?

- Różne rzeczy - odpowiedział po chwili.

- Na przykład... malowanie graffiti na murach?

Uśmiechnął się. W ciemności zabłyśły jego białe zęby.

- Domyśliłaś się?

- Tak. Nikt inny nie mógł wejść na twoją posesję. Wszędzie są kamery. Poza tym... po prostu wiedziałam, że to ty.

- Brawo.

- Jesteś w tym naprawdę niezły. - W rzeczywistości uważała, że ma nieprzeciętny talent. Jego malunki były dziełami sztuki.

- Dzięki.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie, co takiego strasznego zrobiłeś w młodości.

- Nie odpowiedziałem i nie odpowiem - oświadczył stanowczo. - Teraz moja kolej.

Wzywam na przesłuchanie Sophy Braithwaite.

Zaśmiała się łagodnie.

- Co chcesz o mnie wiedzieć?

- Powiedz coś o swoich byłych narzeczonych.

- Jesteś do bólu banalny.

- Wiem. Nie zmieniaj tematu.

Westchnęła głośno.

- Cóż. To nie jest temat rzeka. Spotykałam się z kilkoma chłopakami w szkole średniej. Pierwszy poważny związek zaliczyłam na studiach.

- Jak poważny?



- Byliśmy zaręczeni.
- I co się stało?
- Zmieniłam zdanie.
- Ot tak, po prostu?
- To była trudna decyzja. Wyjechałam zagranicę.
- Dokąd?
- Mieszkałam głównie we Francji.
- Dlaczego wróciłaś do Nowej Zelandii?
- Przygnała mnie tęsknota za rodziną. Idiotyczne, prawda?
- Nie. Ani trochę - wyznał nieoczekiwanie. - Co studiowałaś na uniwersytecie?
- Prawo. Ale przerwałam studia.
- Dlaczego?
- Przez narzeczonego.
- Co takiego ci zrobił?

Oszukał ją. Był studentem prawa. Kilka lat starszym od niej. Chodził z nią wyłącznie dlatego, że chciał się wkupić w łaski jej rodziny, cieszącej się w kręgach prawniczych ogromnym prestiżem. Nie chciała o tym wszystkim mówić Lorenzowi.

- Wyczerpałeś swoją pulę pytań. Znowu moja kolej. Opowiedz mi o twoich byłych narzeczonych.

- Nie uznaję poważnych związków, Sophy. Czyżbyś zapomniała?
- A Jayne McIntosh?

To nazwisko padło podczas kolacji z Charlotte i Robem. Usłyszawszy je, Lorenzo cały zeszywniał, a przez jego twarz przebiegł skurcz. Sophy była pewna, że ta osoba odgrywała kiedyś ważną rolę w jego życiu.

- Co ci powiedziała Charlotte?
- Prawie nic. Ale domyśliłam się. - Po chwili zapytała: - Skłamałeś, mówiąc, że zerwałeś z nią, ponieważ przestała cię podniecać, prawda?
- Nie podoba mi się ta gra - rzucił lodowatym tonem.
- Opowiedz mi tę historię - naciskała.

- To bez znaczenia. To przeszłość. A mnie nie interesuje ani przeszłość, ani przyszłość. Tylko to, co jest teraz.

- A co jest teraz? - Zastanawiała się, czy wreszcie powie choćby kilka słów na temat ich romansu.

Milczał przez chwilę. Odwrócił się. Plecami do niej.

- Teraz idziemy spać - bąknął. - Jutro czeka cię pracowity dzień.

Leżała, wsłuchując się w jego oddech, aż wreszcie sama zapadła w sen.

Zbudził ją gorącym, głodnym pocałunkiem. Nie wiedziała, która jest godzina. Za oknem nadal było czarno. Jego oczy płonęły w ciemności.

- Lo...

Położył palec na jej ustach. Wtargnął w nią z dziką siłą.

- Ty... tylko... ty... - wyszeptał bez tchu.

TTLR

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Bezwiednie bawiąc się swoim naszyjnikiem, Sophy spoglądała przez okno samochodu na chmury płynące po niebie. Zbliżali się do Auckland. Ich wspólny długi weekend dobiegał końca.

- Jesteś zadowolona ze swojej kolekcji?

Skinęła głową.

- Zawiozę ją do twojej pracowni. Będiesz mogła w tym tygodniu dokończyć tam wszystkie swoje projekty.

- Dzięki.

Dojechali w milczeniu aż pod sam dom Sophy. Lorenzo wyłowił z kieszeni jej telefon komórkowy. Sophy spojrzała na aparat z mieszaniną zdumienia i odrazy. Zapomniała o istnieniu tego urządzenia. Zapomniała o całym świecie. Niczego w tej chwili nie pragnęła tak gorąco, jak cofnąć czas o te kilka dni - by znowu je przeżyć.

- Do zobaczenia jutro - rzucił Lorenzo zdawkowo i odjechał, kiedy tylko Sophy wysiadła z auta.

W lusterku wstecznym dostrzegł jeszcze jej zdezorientowany wyraz twarzy, jej smutne, sarnie oczy.

Zaszła jakaś fundamentalna zmiana. Nie potrafił tego ubrać w słowa. Wiedział tylko, że nigdy w życiu nie czuł się tak obnażony i... zagrożony. Zapadał wieczór. Miał wrażenie, że w jego duszy również znowu zaczyna kłębić się mrok.

Cały dzień w Hanmer Springs kochali się, śmiali, pływali, odpoczywali. Czuł się jak bez troskie dziecko, którym nigdy nie był. Sophy przez kilka godzin pracowała nad swoją kolekcją. Lorenzo podglądał jej pracę, podziwiając skupienie, finezję i artyzm. Każdy normalny człowiek uznałby ten dzień za idealny. Czułby się szczęśliwy. Lecz on nie był normalny. Różnił się od większości ludzi, zwłaszcza takich jak Sophy. Ludzi, którzy mają poukładane życie, szczęśliwe rodziny. Nie pasował do tego świata. Był wiecznym wyrzutkiem. A teraz znowu był sam, zupełnie sam. I czuł się jeszcze bardziej wyobcowany niż zwykle.

Dotarłszy do swojego apartamentu, usiłował nadrobić zaległości w pracy, lecz udało mu się jedynie pobieżnie przejrzeć korespondencję mejlową. Weekend z Sophy z każdą minutą wydawał mu się coraz bardziej nierzeczywisty. Miał wrażenie, że w czasie tych kilku dni żył życiem kogoś innego. Znowu, tak jak przed wielu laty, czuł się jak kryminalista.

W nocy nie zmrużył oka.

Następnego dnia zajrzał do gabinetu Sophy dopiero późnym popołudniem.

- Jeśli możesz, zostań dziś dłużej - poprosił. - Chcę ci coś pokazać.

Dobrze, że akurat była z Jemmą. W przeciwnym razie podszedłby do niej i z całych sił pocałował. Obłądnie za tym tęsknił. Był uzależniony od jej ciała. Wiedział, że jest z nim coraz gorzej.

O piątej zapukała do drzwi jego apartamentu. Wpuścił ją i zaprowadził do komputera.

- Zrobiłem dla ciebie kilka projektów - powiedział cicho, bojąc się, że nie przypadną jej do gustu.

Sophy zerknęła na ekran.

- To projekty moich wizytówek?

- Tak. I metek, które będą przyczepione do twojej biżuterii - wyjaśnił. - Musisz jednak na komputerze wpisać szczegóły każdego eksponatu. Potem wszystko wydrukuję. Jeśli będziesz chciała.

Wpatrywała się w ekran. Z każdą sekundą jej oczy jeszcze bardziej powiększały się z wrażenia.

- Masz wiele talentów, Lorenzo. Te projekty są fantastyczne! - zawołała z entuzjazmem. - Nie mogę uwierzyć, że tak się dla mnie poświęciłeś.

- Drobnostka - mruknął. Nie do końca: malował je przez pół nocy, a następnie przez pół dnia skanował i poprawiał na komputerze. - Nie obrażę się, jeśli nie będziesz chciała ich użyć.

- Oszalałeś? Są genialne. Nie mogłabym marzyć o lepszych. Dziękuję - uśmiechnęła się promiennie.

- Chcesz nad nimi teraz popracować?

- Tak - odparła podekscytowana.

Stojąc nieruchomo, patrzył, jak Sophy zajmuje miejsce przy jego komputerze i zaczyna eksperymentować z czcionkami, starannie dobierać kolor tekstu.

Przestrzenny apartament wypełnił się jej słodkim, unikalnym zapachem. Dlaczego ją tu przyprowadził? Przecież to była jego pustelnia, jego schron. To tu chował się przed światem i przed ludźmi. Już raz tu była, kiedy powaliła go choroba - czuł jej zapach przez wiele kolejnych dni, nawet wtedy, gdy już nie miał prawa nasycać powietrza. Czuł jej zapach za każdym razem, gdy o niej myślał.

Dlaczego ją tu zaprosił? Dlaczego przestał podejmować świadome, rozsądne decyzje, z których słychać w świecie biznesu? Znowu zaczęło się w nim kumulować pożądanie, piętrzyć niczym dzika fala, niemożliwa do powstrzymania. Musiał wyjść, dopóki nie było jeszcze za późno.

- Idę pobiegać.

- W porządku - odparła Sophy, bez reszty pochłonięta pracą.

Przebrał się w sportowy strój. Biegał po parku przez godzinę, napełniając płuca świeżym powietrzem, próbując ostudzić rozpaloną głowę, wypocić zatruwającą go żądzę. Bezskutecznie. Wrócił do swojego apartamentu. Sophy nadal siedziała przy komputerze. Wszedł pod prysznic i odkręcił zimną wodę. Lodowaty strumień uderzył go w twarz. Tęsknił za uczuciem pustki, które przez całe życie go prześladowało. Tak było łatwiej. Bezpieczniej.

Nagle poczuł na sobie jej wzrok. Odwrócił się i ujrzał ją w progu łazienki. Była taka piękna, nieziemsko piękna... Bał się ją skrzywdzić. A nie mógł wykluczyć, że to uczyni. Przypadkowo, nieumyślnie lub dla jej dobra. Czuł, że dzikie zwierzę, które w nim tkwiło, zamknięte w klatce, wydostało się na wolność. Tak jak tamtej nocy, wiele lat temu, kiedy nagle, ni stąd ni zowąd, zaczął demolować czyjś stojący na parkingu samochód. Z auta została tylko miazga. Wyrosła na frustracji, rozpacz i braku miłości furia, która go wtedy opętała, była niekontrolowana. Przerażająca. „Niemal termojądrowa” - jak pomyślał kilka lat później, żalując swojego wybryku tak jak niczego innego w całym życiu. Od tamtej pory wiedział, że utrata kontroli nad emocjami jest rzeczą niedo-

puszczalną. I nieważne, o jakie emocje chodzi; pożądanie jest równie niebezpieczne co gniew.

Patrzył teraz, jak Sophy zdejmuje bluzkę i spódnicę. Podeszła do niego wolnym krokiem. W jej wielkich błękitnych oczach ujrzał płomień pożądania, morze wrażliwości oraz... coś jeszcze. Jakieś palące pytanie. Przeraził się.

Zakręcił wodę, chwycił ręcznik i wyszedł spod prysznicza.

- Ubierz się. Proszę. - Powiedział to tym samym tonem, jakim jeszcze niedawno, gdy pierwszy raz pokazał jej pracownię, błagał ją o kolejną wspólną noc.

Po chwili jednak znowu był zupełnie opanowany, zimny jak gład.

Muszę z nim porozmawiać, zdecydowała. Lorenzo się od niej oddalał. Przed chwilą ją odtrącił, pierwszy raz w życiu. Starła się zablokować ból.

Lecz było to tak samo niemożliwe, jak powstrzymanie słońca przez zajściem.

Tak, zakochała się w nim.

Zakochała się bez pamięci w tym skomplikowanym, samotnym, pięknym mężczyźnie. Nie mogła teraz zakończyć ich romansu. Równie dobrze mogłaby wyrwać sobie serce.

Przeszła z powrotem do komputera, spojrzała na jego projekty. Widać było, że dokładnie przeanalizował jej kolekcję, ponieważ jego projekty utrzymane były w tej samej kolorystyce oraz lekko secesyjnej stylistyce jak jej biżuteria.

- Dziękuję za wszystko. Pójdę już.

Spojrzał na nią ciemnymi, nieprzeniknionymi oczami.

- Nie chcesz tu zostać? - W jego głosie usłyszała ulgę.

Oczywiście, że chciała! Ale nie mogła.

- Nie.

Nie mogła, ponieważ on jej tu nie chciał. Zdradzał go ton głosu, język ciała. Jej serce skurczyło się pod wpływem koszmarnej prawdy. Wyszła zdruzgotana. Niczym w transie doszła na piechotę do domu. Położyła się spać, żeby przestać myśleć.

Nazajutrz w ogóle nie pojawiła się w pracy. Lorenzo nawet do niej nie zadzwonił. Nie zapukał w nocy do jej drzwi.

Do fundacji poszła dopiero w środę. Tylko po to, by zabrać swoją biżuterię. W jej gabinecie na biurku leżały wydrukowane wizytówki i etykiety. Spojrzała na nie i dopiero teraz poczuła autentyczną ekscytację. Włożyła całe serce w swoją kolekcję. Przez kilka godzin planowała, która rzecz ma się znaleźć w której gablotce. Późnym popołudniem usłyszała, jak pod jej gabinet podchodzi Lorenzo. Poznała go po krokach. Podbiegła do drzwi, niemal unosząc się nad ziemią.

- Dlaczego jesteś taka wesola?

Nie chciała się wygadać, że w dużej mierze to jego zasługa. Nic nie mogła poradzić na to, że kiedy był w pobliżu, jej serce śpiewało. Zamiast tego odrzekła jednak:

- Znalazłam fantastyczną kreację na jutrzejszy wielki dzień.

Na jego usta zabłąkał się cień uśmiechu. Wszedł do środka.

- Nic tak nie poprawia kobiecie nastroju jak udane zakupy - rzekł bez humoru.

- A w czym ty przyjdiesz? - zapytała pogodnie. - W smokingu? Pamiętaj, że to raczej uroczysta gala.

Skrzywił się i uciekł wzrokiem.

- Ja... nie przyjdę.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Jak to? - wykrztusiła dopiero po chwili.

Podszedł do okna.

- Nie jesteśmy parą, Sophy. Już na początku zastrzegłem, że nie będziemy się publicznie afiszować z naszym romanssem.

Nadludzkim wysiłkiem postanowiła zignorować nóż, który przed chwilą wbił jej w samo serce.

- Nie musisz mnie trzymać za rękę - odparła cicho. - Możesz przyjść jako mój... przyjaciel.

- Nie potrzebujesz mojej obecności.

Oczywiście, że potrzebowała! Przecież to on w nią wierzył. On ją dopingował. On podziałął na nią niczym zastryk pewności siebie.

- Potrzebuję! I to bardzo.

- Nie potrzebujesz - powtórzył z naciskiem.

- Powiedz prawdę. Dlaczego nie chcesz tam pójść?

Wzruszył ramionami.

- Nie lubię tego typu artystycznego kina - bąknął.

- Och, doprawdy? W takim razie dlaczego masz tego rodzaju filmy w swojej kolekcji płyt DVD?

- Posłuchaj, Sophy. - Nagle wbił w nią ostre jak brzytwa spojrzenie. - Nie idę. Nie chcę. Koniec dyskusji.

- Powiedz dlaczego - zażądała.

- Nie chcę komplikować naszego... układu.

„Układu”? Co on, do diabła, ma na myśli? Była pewna, że to, co było między nimi, już dawno przestało być „układem”.

- Łączy nas tylko seks - wycedził. - Dzika żądza. Żadnych uczuć. Sama powiedziałaś, że tylko to cię interesuje. Nie możesz teraz zmieniać zasad gry.

- To ty je zmieniłeś! - wybuchła. - To ty zabrałeś mnie na romantyczny weekend. To ty pomagałeś mi ukończyć moją kolekcję! Chcesz powiedzieć, że nic do mnie nie czujesz? Absolutnie nic?

- Nic specjalnego, Sophy. Przykro mi.

Podeszła bliżej. Bił od niego chłód.

- Nasz wspólny weekend też nic dla ciebie nie znaczył?

- Nic - potwierdził głosem wyzutym z emocji. - Nie rób sceny.

Miała ochotę go uderzyć. Zedrzeć z niego tę maskę obojętności, rozbić jego lodowy pancerz, za którym się skrył prawdziwy Lorenzo.

- Każde twoje słowo to kłamstwo! - krzyknęła. Zapięły ją łyzy. - Okłamujesz mnie! I okłamujesz siebie!

- Nie. Mówię prawdę. To tylko seks, Sophy. - Jego oczy były puste, martwe, jak dwa czarne kamienie. - Romans, o którym nikt nie może się dowiedzieć. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Czysty, zwierzęcy seks - powtórzył.

Przez jej twarz przebiegł grymas. Ona z nim nigdy nie uprawiała seksu. Za każdym razem się z nim kochała. Ofiarowała mu całą siebie. Co prawda bez słów, ale miała nadzieję, że on to wie, rozumie, czuje. Nie miała jednak zamiaru o nic go błagać. Nie pad-



nie przed nim na kolana. Nawet go nie dotknie, by spróbować go wyrwać z tego koszmarnego transu. Postanowiła zachować resztki godności.

- Wobec tego... to koniec, Lorenzo.

Nawet nie drgnął, nie mrugnął. Wyminęła go i wyszła z pokoju.

Sophy włożyła elegancką sukienkę *vintage* w odcieniu pruskiego błękitu, którą upolowała w butik z odzieżą z lat trzydziestych i czterdziestych. Przez całą godzinę starannie nakładała harmonizujący z kreacją makijaż: jasny podkład, ciemne cienie, czerwona szminka. Uśmiechnęła się z aprobatą do swojego odbicia w lustrze. Dziś nie miała nikogo, kto dodawałby jej otuchy. Rosanna od kilku dni była w Wellington.

Przez pół popołudnia rozmieszczała w gablotkach we foyer swoją biżuterię. Kręcący się dookoła ludzie z ekipy przygotowującej festiwal filmowy chwalili jej dzieła, lecz Sophy puszczała ich komplementy mimo uszu. Liczyło się dla niej przede wszystkim zdanie rodziców. Przeszła na piechotę do ich mieszkania w centrum miasta, by następnie pojechać z nimi do kina. Za kierownicą usiadł ojciec, jak zwykle opanowany i mało-mówny.

- Nie mogę się doczekać seansu - ekscytowała się matka, nieświadoma, że jej córkę zżerają nerwy. - Czytałam same entuzjastyczne recenzje.

Rodzice nie mieli pojęcia, że we foyer będzie wystawiona jej biżuteria. Sophy zacisnęła kurczowo palce na torebce, by ukryć drżenie dłoni.

Wreszcie dojechali. Brat i siostra Sophy byli już na miejscu; czekali we foyer. To właśnie jej siostra i szwagierka od razu po przywitaniu się zwróciły uwagę matki na wystawioną w gablotkach biżuterię.

- Co sądzisz o tej broszce? - zapytała Mina, szwagierka Sophy. - Albo o tamtych kolczykach?

- Szalowa biżuteria! Spójrz, Sophy - powiedziała Victoria.

- Wszystko w porządku, siostrzyczko? Jesteś blada jak ściana - zmartwił się jej brat, Ted. - A teraz... kompletnie czerwona.

- Wszystko w porządku - pisnęła Sophy przez ściśnięte gardło.

Matka spojrzała na nią z troską.

- Jesteś pewna, córciu?

Sophy jedynie skinęła głową; nie chciała znowu wydawać z siebie żalosnych dźwięków.

- Ten naszyjnik idealnie by do ciebie pasował, Sophy - odezwała się Mina. - Jest w kolorze twoich oczu. - Miała oczywiście na myśli naszyjnik, który Sophy zrobiła w Hanmer Springs.

Ted wziął jedną z wizytówek ułożonych na gablotce, przestudiował ją z rosnącym zdumieniem.

- „Sophy Braithwaite, projektantka biżuterii” - przeczytał na głos. - Siostrzyczko, to są twoje dzieła sztuki?

Zapadła cisza.

Wszystkie oczy powędrowały ku Sophy, która stała nieruchomo, rumieniąc się.

- No... tak - wydukała.

- Naprawdę? Boże, to wszystko jest takie cudne! Edwardzie! - Matka zawołała do męża. - Edwardzie, widziałeś to?

Tak, widział. Objął córkę ramieniem i uśmiechnął się do niej.

- Gratulacje, Sophy. Jesteśmy z ciebie dumni.

Posypała się lawina kolejnych zachwytów: „Jesteś taka utalentowana!”, „W życiu bym czegoś podobnego nie zrobiła!”, „Cóż za misterna robota!”, „Gdzie ty się tego wszystkiego nauczyłaś?”, „Dałaś czadu, siostrzyczko”...

Sophy była oszołomiona i zadowolona. W głębi serca czuła jednak smutek, który z minuty na minutę przybierał na sile. Zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie chciała za imponować swoim bliskim, tylko... jemu. Temu, który się nie zjawił. Tak długo marzyła o tym, by jej rodzice byli z niej dumni i powiedzieli to na głos. Jej marzenie się spełniło. Dlaczego więc teraz pozwalała na to, by jakiś facet psuł najważniejszy dzień w jej dotychczasowym życiu?

- Skarbie, właśnie rozmawiałem z menadżerem - oświadczył Edward Braithwaite. - Podobno część twojej kolekcji została już kupiona w pięć minut po otwarciu wystawy. No, no...

Myśli Sophy momentalnie pobiegły ku Lorenzowi. Czy to on zrobił? Czy kręci się tu gdzieś w pobliżu? Jej serce przepełniła nadzieja.

- Siostrzyczko, jest tu ktoś, kto chce z tobą porozmawiać - poinformował ją Ted.

Odwróciła się gwałtownie, w uszach szumiała jej krew. On musi tu gdzieś być! Przeczesała wzrokiem tłum. Nagle poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Znowu się odwróciła, uśmiechając się promiennie.

- Niespodzianka!

- Och! - jęknęła Sophy. - Rosanna! - Z całych sił przytuliła przyjaciółkę, by zamaskować swoje rozczarowanie.

- Myślałaś, że jestem wstrętną jędzą i nie przylecę na twoją wystawę?

Sophy potrząsnęła głową. Nie mogła mówić. Jej serce jednocześnie się radowało i krwawiło. Miała tak wspaniałą przyjaciółkę, tak cudowną rodzinę. Nie miała prawa się smucić. Spojrzała Rosannie w twarz.

- Dziękuję - rzekła ze łzami w oczach. - Dziękuję, że tu jesteś... Potrzebuję cię.

Lorenzo siedział w swoim aucie. Nadal był zbyt oszołomiony, by przekręcić kluczyk w stacyjce. Zaparkował w bezpiecznej odległości od budynku dziesięć minut przed otwarciem drzwi. Było to ponad godzinę temu. Wbrew temu, co powiedział Sophy, postanowił przyjść. Chciał ją przeprosić... lub coś w tym stylu. Celowo ją odtrącił, by ona odtrąciła jego. Miała jednak rację - kłamał. Wszystko, co jej powiedział, było podłym łgarstwem.

Przyjechał. Nie chciał jej zawieść. Całe szczęście, że w porę się dowiedział. Dowiedział się wstrząsającej prawdy.

Braithwaite.

To nie jest pospolite nazwisko. Powinien był wcześniej skojarzyć. Lecz nigdy, z wiadomych powodów, nie zasypywał Sophy pytaniami o jej rodzinę. Teraz tego żałował.

Kołnierzyk koszuli uciskał go jak pętla wokół szyi.

Widział, jak Sophy wysiada z samochodu. A za nią...

Edward Braithwaite. Sędzia Edward Braithwaite. To przed nim wiele lat temu Lorenzo stał na sali sądowej. To on potraktował go łaskawiej, niż powinien. To on wiedział, kim niegdyś był Lorenzo Hall.

Ojciec Jayne McIntosh, kiedy dowiedział się o przeszłości Lorenza, który był wówczas początkującym biznesmenem, kazał trzymać mu się z daleka od jego córki. Uważał, że jest bezwartościowym człowiekiem, w którego nie warto inwestować. Jayne nie protestowała. Był dla niej jedynie chwilową rozrywką.

Od tamtego czasu minęło dziesięć lat. Wiele rzeczy się zmieniło. Lorenzo był już człowiekiem sukcesu. Lecz to bez znaczenia. Sędzia Braithwaite poznał go z najgorszej strony. Postąpiłby tak samo jak McIntosh - kazałby mu zostawić jego ukochaną córkę w spokoju. Lorenzo zacisnął powieki i pięści, uderzył głową w kierownicę i zawył jak ranne, konające zwierzę. Nie da się uciec od własnej przeszłości! Idealne życie u boku Sophy, o którym czasem marzył, okazało się mirażem. Co z tego, że był zamożny, posiadał świetnie prosperującą firmę, prowadził fundację? I tak nigdy nie będzie dość dobry dla kobiety tak cudownej jak Sophy. Wiedział, jak ważna jest dla niej opinia i aprobatą rodziców. Odkrywszy, że jej ojcem jest sędzia Braithwaite, wiedział, że nie ma już żadnych szans. Ona zasługuje na idealną rodzinę, idealnego kochanka... którym ja nigdy, przenigdy nie będę, pomyślał, czując, jak coś w nim umiera.

To koniec.

Jedynie, co mógł teraz zrobić, to upić się do nieprzytomności.

Po seansie filmowym Sophy udała się ze swoją rodziną oraz Rosanną na kawę. Sophy cały wieczór myślała jednak o naszyjniku, który zrobiła w Hanmer Springs, a który został kupiony tuż po otwarciu wystawy. Liczyła w duchu, że zrobił to Lorenzo. Może jeszcze tego wieczoru przyjdzie do niej do domu, przeprosi za swoją nieobecność i swoje okrutne, nieprawdziwe słowa? Jestem żałosna - pomyślała. Naczytałam się za dużo harlequinów, naoglądałam za dużo starych romansów. Mimo to nadal żyła tą nadzieją. Dochodziła północ. Pożegnała się z bliskimi i została w kawiarni sam na sam z Rosanną.

- Wszystko w porządku? - zapytała przyjaciółka.

- Tak. Jestem tylko trochę zmęczona.

Rosanna odstawiła filiżankę na stół.

- Pan rekin się nie pojawił.

- Uprzedził mnie, że nie przyjdzie - odparła, próbując kolejny raz ukryć smutek. -

Idziemy do domu?

- O, nie, noc jest jeszcze młoda. Jestem umówiona z Vance'em w jego barze - zdradziła Rosanna.

- Emmet i Jay to już przeszłość?

- Nie, skądże! Z nimi też się tam umówiłam.

Sophy zaśmiała się pełną piersią, pierwszy raz od wielu dni.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedziała Rosanna. - Zamknij oczy.

Sophy spełniła jej prośbę.

- Dobra, możesz już otworzyć.

Podniosła powieki i... zamarła. Rosanna miała na sobie jej naszyjnik. Tamten naszyjnik.

Poczuła, jak jej serce pęka bezgłośnie na milion kawałeczków.

- Jest precudny! - egzaltowała się Rosanna, nieświadoma uczuć przyjaciółki. - A ty jesteś genialna, dziewczyno. Wróżę ci zawrotną karierę. A pamiętaj, że z racji swojej profesji wiem to i owo o modzie i stylu.

Uczucie zawodu było tak miazdzące, że Sophy przez parę chwil nie mogła oddychać. Do jej oczu napłynęły piekące łzy. Poturłały się po jej bladych policzkach.

- Sophy! - zawołała przerażona Rosanna. - Płaczesz przeze mnie?

- Dziękuję ci za to, że jesteś taką cudowną przyjaciółką - wyszeptała szczerze. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

W myślach wyzywała się od naiwnych idiotek. Jak mogła doprowadzić się do takiego stanu? On nie jest tego wart! Poza tym, jak powiedział kiedyś ktoś mądry - pomyślała, biorąc się w garść - „mężczyźni są przereklamowani”.

- Zmieniłam zdanie - odezwała się, wycierając chusteczką policzki. - Idę z tobą do baru.

Nie miała zamiaru leżeć w łóżku i taplać się w smutku. Nie miała zamiaru psuć sobie ani jednej minuty więcej przez Lorenza. Miała zamiar świętować na całego, śmiać się i tańczyć.

W barze było tłoczno, duszno i głośno.

Sophy wypijała drinka w towarzystwie Jaya, Emmeta i Rosanny, następnie Jay wyciągnął ją na parkiet. Był świetnym tancerzem. Rytm muzyki zagłuszał ból. Tak, przyjęcie tutaj było dobrym pomysłem. Sophy miała zamiar tańczyć do rana. Potem pojedzie do domu, runie na łóżko i zapadnie w sen. Genialny plan.

- Dzięki, Jay - szepnęła mu do ucha. - Wstawię się za tobą u Rosanny.

Objął ją w talii i uśmiechnął się szeroko.

- Super. Jesteś słodka. Nie przejmuję się jednak Emmetem, tylko tym drugim gościem. Właścicielem tego lokalu. - Skinął głową w kierunku baru.

Sophy odwróciła się i powiodła za spojrzeniem chłopaka. Vance stał za kontuarem, ponuro łypiąc okiem na Rosannę przytuloną do Emmeta. Sophy zachichotała, lecz nagle śmiech ugrzązał jej w gardle. Zza pleców Vance'a wyłonił się kto inny. Lorenzo. Posłał jej gromiące spojrzenie.

Kiedy piosenka dobiegła końca, Sophy wymknęła się do łazienki. Obmyła twarz zimną wodą i wzięła kilka głębokich wdechów. Poprawiła szminkę. Żałowała, że nie może się stąd teleportować prosto do domu. Wyszła z łazienki. Ktoś chwycił ją za rękę i zaciągnął z powrotem do toalety, do jednej z kabin. Ktoś, kto znał jej wrażliwe miejsca - pocałował ją z ogniem, lecz nie w usta, tylko w szyję. Odrzuciła w tył głowę, nie protestując, nie myśląc. Poczowała od niego woń alkoholu. Jego usta były gorące, zachłanne jak nigdy wcześniej. Po chwili natarł na nią całym ciałem. Przycisnął ją do ściany kabiny, napierał biodrami. Jęknęła cicho. Pragnęła go. Histerycznie, rozpaczliwie. Kiedy jednak jego dotyk stał się coraz bardziej śmiały, w jej umyśle rozległ się ogłuszający alarm. Co ty wyprawiasz?! - usłyszała karcący głos. Przecież on traktuje cię podle. Nie przyszedł na twoją wystawę. Wolał się upić w barze. Zaciągnął cię do kabiny w toalecie, by cię napałować jak jaskiniowiec.

Nagle zacisnęła palce na jego szyi, wbijając paznokcie w jego skórę. Uniósł głowę i znieruchomiał. Patrzyli na siebie, oddychając głośno. Jego czarne oczy były przerażająco smutne. Czyżby dlatego, że widział, jak tańczyła z Jayem? Nie, to musiało być coś innego. Głębszego.

Do diabła z tobą, Lorenzo, pomyślała. Zaczęła całować jego policzki, szczękę, szyję, a potem wykrochmalony biały kołnierz jego koszuli, zostawiając wszędzie ślady swojej karminowej szminki. Na koniec pocałowała go w usta. Z oczu pociekły jej łzy. Przerwała pocałunek i spojrzała na niego swoimi wielkimi oczami, w których kłębiło się morze emocji, przede wszystkim ból i uraza.

- Spójrz na siebie, Lorenzo - wycedziła łamiącym się głosem. - Masz ślady szminki na całej twarzy i na koszuli. - Jej gorzki śmiech zamienił się w cichy szloch. - Jak teraz uda ci się ukryć twój brudny sekret?

Wybiegła z kabiny.

- Sophy!

Wiedziała, że z rozmazaną szminką i białą twarzą wygląda teraz jak klaun po wypadku lub pijana prostytutka. Miała to gdzieś. Nigdzie nie znalazła Rosanny. Podeszła do Jaya.

- Odprowadź mnie do taksówki.

Chłopak nie zadawał zbędnych pytań.

- Ja ją odprowadzę - warknął Lorenzo, który nagle zmaterializował się u jej boku.

Jay objął Sophy ramieniem i spojrzał wrogo na Lorenza.

- Ta pani nie życzy sobie twojego towarzystwa - syknął.

Lorenzo wyszedł z nimi przed klub. Jay zapakował Sophy do taksówki i zablokował drzwi, by Lorenzo nie mógł się do nich dostać.

- Sophy!

Otworzyła okno.

- Nie chcę z tobą teraz rozmawiać, Lorenzo. Jestem zbyt wściekła, a ty zbyt pijany.

Taksówka odjechała.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kwadrans po tym, jak dotarła do domu, ktoś załomotał do jej drzwi. Otworzyła i uraczyła go spojrzeniem pełnym furii.

- Mówiłam, że nie chcę z tobą rozmawiać!

- Nie jestem pijany.

Oddychał głośno. Czyżby przebiegł całą drogę z baru do jej domu?

- Czego ode mnie chcesz, Lorenzo? - powiedziała, wpuszczając go do środka.

- Kiedy zobaczyłem, jak tańczysz z tamtym facetem... wpadłem w szał. Odbiło mi.

Nawet nie mogę zwalić winy na alkohol. Przepraszam - dodał ze spuszczoną głową.

- Zamiast patrzeć na mnie spode łba zza baru, mogłeś do mnie podejść i poprosić do tańca - powiedziała z wyrzutem.

- Nie mogłem. Jesteś dla mnie... za dobra.

- Boże, daruj sobie takie teksty! Zarezerwuj je dla jakiejś większej idiotki niż ja.

Lorenzo był blady i roztrzęsiony. Musiał powiedzieć jej prawdę.

- Spotkałem kiedyś twojego ojca - wyznał.

- Naprawdę?

- Tak. W sądzie. Prowadził moją sprawę.

- Słucham?

- Sąd dla nieletnich. Miałem wtedy trzynaście lat.

Sophy usiadła na najbliższym fotelu.

- Co przeskrobałeś?

- To, co zwykle. Graffiti, kradzieże, zniszczenie mienia.

- Jaki był wyrok?

- Prace społeczne. To twój ojciec wysłał mnie do szkoły, w której poznałem Aleksa. Dostrzegł we mnie potencjał. - Spuścił głowę. - To dlatego nie przyszedłem na twoją wystawę. Nie mogłem się pokazać twojemu ojcu.

Sophy uniosła brwi.

- Myślisz, że gdyby cię teraz spotkał, obchodziłoby go to, co zrobiłeś osiemnaście lat temu, a nie to, co od tamtej pory w życiu osiągnąłeś?



- Niczego nie rozumiesz, Sophy!

- To ty nie rozumiesz - odparowała. - Nie znasz mojego ojca. On wierzy w sprawiedliwość. Potraktował cię łagodnie, bo zna się na ludziach. Wysłał cię do szkoły, która miała na ciebie zbawienny wpływ. Koniec historii. Happy end. Kiedy wreszcie w ten sposób zaczniesz patrzeć na swoją przeszłość?

- Nie mogę, Sophy, nie mogę! - zawołał rozpaczliwie. - Moja przeszłość mnie nazaczyła. Żaden ojciec nie chciałby, żeby jego córka zadawała się z takim typem jak ja. Uwierz mi, słyszałem to już nie raz...

- Posłuchaj, Lorenzo - zaczęła spokojnie. - Nie mieszkam z moimi rodzicami. Jestem dorosła. Podejmuję własne decyzje. Mogę się spotykać, z kim mi się żywnie podobają.

- Tylko tak mówisz. Przecież wiem, ile znaczy dla ciebie opinia twoich rodziców. Umierałaś z nerwów, bojąc się, że nie spodoba im się twoja biżuteria.

- Nawet gdyby z początku mój ojciec nie był zachwycony, to gdyby cię bliżej poznał, przekonałby się do ciebie - zapewniła go.

Zacisnął pięści. Przytknął je do skroni.

- Nie masz pojęcia, kim jestem!

- To mi powiedz!

- Co mam ci powiedzieć? Ohydłą prawdę?

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Tak. Opowiedz mi jakąś łzawą historię o biednym chłopcu bitym przez ojca - rzuciła szyderczo.

W jego oczach zapłonął gniew.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - syknął. - Miałś rodziców, którzy traktowali cię jak ostatniego śmiecia? Czy twój ojciec powtarzał ci od dziecka, że jesteś chodzącą aborcją? Ale to jeszcze nic, kochanie - zaśmiał się ponuro. - Katował mnie dzień w dzień. Za co? Za wszystko. Za byle co. Bił mnie pięściami, kijami, pasem. Czymkolwiek co miał pod ręką. Moja matka nie miała odwagi mnie bronić. Potem tułałem się od domu do domu, od rodziny do rodziny. Nigdzie nie potrafiłem się zadomowić. Nigdzie mnie nie kochano.

- Lorenzo...

- Przyczepili mi metki. „Trudne dziecko”. „Niekontrolowane napady agresji”. „Zamknięty w sobie”. Kiedy przyczepią ci takie metki, już nikt nigdy ciebie nie zechce. I nikt mnie nie chciał. Nikt!

- Ja ciebie chcę - wyszeptwała.

- Nie, wcale nie!

- Chcę.

- Byłaś ze mną tylko ze względu na seks. Fakt, że jestem złym chłopakiem z nizin, dodatkowo cię podniecał. Za tydzień ci przejdzie. Znudzisz się. Zateśkniesz za kimś idealnym, Sophy. Takim jak ty i twoja rodzina.

- Oni nie są idealni. Ja też nie jestem.

Zaniósł się gorzkim śmiechem.

- Doprawdy? Twoi rodzice cię kochają. Myślisz, że nie, ale mylisz się. Cokolwiek zrobisz, kimkolwiek będziesz, zawsze będą cię kochać. Moi nigdy mnie nie kochali, nawet kiedy stawałem na głowie. - Jego głos stał się chrapliwy. - Jestem uszkodzony, Sophy. Jeśli jesteś traktowany jak zwierzę, zamieniasz się w zwierzę. I już nigdy się nie da tego odkręcić.

Podeszła do niego. Położyła dłoń na jego piersi.

- Nie boję się ciebie, Lorenzo. Kocham cię. Pozwól mi siebie kochać.

- Nikt mnie nie może kochać! - zaprotestował z ogniem. - Ja też nie mogę nikogo kochać. - Podbiegł do drzwi. Jego twarz wykrzywił grymas. W oczach zalśniły łzy. - Przepraszam, że dzisiaj cię napastowałem. Przepraszam. Miałaś rację. To koniec.

Sophy oparła się całym ciałem o drzwi.

- Jesteś tchórzem! Żalonym tchórzem! - wygarnęła mu. - Odgrywasz rolę udęzonego samotnika, bo tak jest ci łatwiej. Boisz się, że ktoś znowu cię odtrąci. Ale ja bym cię nie odtrąciła.

- Odtrąciłabyś. - Jego usta ledwie się poruszały.

- Nie. Masz rację, nie mam pojęcia, przez jakie piekło przeszedłeś. Ale to ja wiem, jak to jest, kiedy się kogoś kocha, a ten ktoś cię nie chce. Nie kocha. Odpycha. Odtrąca. -

Po jej twarzy nagle popłynęły strumieniem gorące łzy. - Twoja strata, Lorenzo. Mogłeś mieć wszystko. Mogłam ci dać wszystko.

Szarpnęła za klamkę. Wybiegła. Chciała uciec od niego najdalej, jak to możliwe. Biec do utraty tchu. Do utraty przytomności.

Biegąc pustą ulicą, ze łzami w oczach, które rozmywały wszystko dookoła, nie usłyszała i nie dostrzegła nadjeżdżającego samochodu. Usłyszała dopiero ogłuszający pisk opon. I krzyk.

Do domu wbiegła matka Sophy.

- Gdzie jest moja... - Urwała, ujrawszy córkę, bladą i nieruchomą, w łóżku. - Och, Sophy! - Z jej oczu popłynęły łzy. - Czy nic jej nie będzie?

Lorenzo nie odpowiedział. Spojrzał na mężczyznę stojącego w progu. Ojciec Sophy podszedł do łóżka, omiótł wzrokiem postać córki. Jego wyraz twarzy był nieprzenikniony. Następnie przeniósł wzrok na Lorenza. Patrzył na niego twardym, zimnym wzrokiem.

- Chyba cię znam - odezwał się wreszcie.

- Wiem. - Lorenzo nadal trzymał Sophy za rękę.

- Nie wyjdę stąd.

- Widzę.

Lorenzo znowu usiadł.

- Beth, to jest...

- Lorenzo. Lorenzo Hall.

- Ach, tak. Rzeczywiście - mruknął Edward Braithwaite.

Dopiero teraz wszystko sobie przypomniał.

- Czy wy się znacie? - zapytała matka Sophy.

- W pewnym sensie - odparł pan Braithwaite.

- Jest pan przyjacielem naszej córki?

- Tak.

Uzyskawszy tę informację, matka Sophy zaczęła czule głaskać czoło córki.

Lorenza trawiło od środka poczucie winy. To przez niego wpadła pod samochód. Gdyby jej tak nie zdenerwował, nie wybiegłaby z domu. Miał ochotę rozerwać się na

strzępy. Jej blond włosy rozrzucone były na poduszce. Pomimo to każdy loczek nadal był idealny, skręcony jak sprężyna. Jej skóra była blada, niemal biała. Na czole widniał brzydki, wielki siniak, który wraz z upływem czasu ciemniał.

Wreszcie przybyła karetka.

Lorenzo nie mógł uwierzyć, że Sophy nie ma żadnych złamań. A przecież mogła nawet zginąć. Całe szczęście, że kierowca miał refleks, gwałtownie skręcił i jedynie przewrócił ją na ziemię, a nie potracił i przejechał. Lekarze zbadali ją bardzo dokładnie. Lorenzo bał się jednak, że Sophy ma jakieś obrażenia wewnętrzne, które lekarze przeoczyli.

- Wiele się zmieniło, odkąd się ostatnio widzieliśmy - rzekł ojciec Sophy, kiedy karetka odjechała. Miał tak samo błękitne oczy jak jego córka.

- Tak. Bardzo wiele.

- Cieszę się. Czy Sophy... wie?

- Tak. - Lorenzo przełknął ślinę.

- Czy... przyjaźnicie się?

- Tak.

Sędzia wbił wzrok w jakiś niewidoczny punkt w oddali.

- Kiedy cię poznałem, dostrzegłem w tobie potencjał. Kierowałeś się jednak w życiu gniewem. Nikomu nie pozwalałeś się sobą zaopiekować. Odpychałeś każdego, kto do ciebie podszedł. - Nagle przeniósł wzrok na Lorenza. Znowu miał twarz surowego przedstawiciela prawa, który wiele lat temu sądził młodego wandala. - Nie waż się zrobić tego mojej córce.

Lorenzo nie odpowiedział. Spojrzał jedynie na jej drobną, delikatną dłoń, którą gładził z uczuciem. Nie miał odwagi przyznać się, że już zdążył zrobić to, przed czym ostrzegał go ojciec Sophy.

Piekielnie bolała ją głowa. Z trudem podniosła powieki.

- Lorenzo?

Nie odpowiedział. Ale był tutaj. Była tego pewna. Czuła jego zapach. Czuła jego ciepło na swojej dłoni.

- Lorenzo?

- Nie ma go tu - odparł niski głos. - Kazałem mu odejść.

- Jak to? Tato!

Poczuła czyjąś ciepłą dłoń na czole. Nie należała do Lorenza.

- Sophy? - Ujrzała przed sobą twarz matki. - Kochanie, dobrze się czujesz?

Zaszlochała cichutko.

- Nie martw się. Wróci. Wysłaliśmy go tylko po kawę. Siedział przy tobie przez dwie godziny.

Zamknęła oczy. Ciepłe łzy spłynęły po jej policzkach na poduszkę. Wiedziała, że nie wróci. Nie chciał być w pobliżu jej rodziny.

- Córeczko, mamy wezwać lekarza?

- Nie. Co się stało?

- Potrącił cię samochód. Wbiegłaś prosto na jezdnię.

- Uciekałaś przed czymś, Sophy? - zapytał ojciec srogim tonem. - Przed kimś?

- To nie było tak, jak myślisz, tato.

- Nie wiem, co myśleć, skarbie - westchnął.

Podniosła powieki i spojrzała na ojca.

- Pamiętasz go?

- Pamiętam wszystkich. Ale niektórych bardziej niż innych. Kiedy go poznałem, był młodym gniewnym. Miał jednak powody do gniewu.

Sophy poczuła, jak pęka jej serce.

- Ja go kocham, tato.

Nagle dostrzegła go stojącego w progu. Podbiegł do niej.

- Edwardzie, chodźmy do domu. Napijemy się kawy i wrócimy tu za godzinę - zaproponowała matka. - Dajmy Sophy chwilę wytchnienia.

Sophy dostrzegła, jak obaj mężczyźni wymieniają między sobą znaczące spojrzenia, ale nie potrafiła zrozumieć ich sensu.

Lorenzo wyglądał jak własny cień.

- Sophy - wyszeptał łamiącym się głosem. - Przepraszam.

- To moja wina. Nie powinnam biec ulicą.

- Zdenerwowałaś się przeze mnie. Nigdy nie chciałem cię zranić... - Spuścił głowę.  
- Masz rację. Jestem tchórzem. Boję się ciebie. Boję się uczuć, które we mnie wywołujesz. - Usiadł przy łóżku. - Nie wiem, czy cokolwiek potrafię ci dać... Nic nie mam.

- Lorenzo. - Wzięła głęboki wdech.

Kochała go. Chciała go. Przebywając z nim, była szczęśliwa.

- Nie potrzebuję od ciebie Bóg wie czego. Tylko ciebie.

- Ale ty zasługujesz na o wiele więcej - zaprotestował.

Jego oczy były przepełnione udręką.

- Nie. Chcę ciebie. Tylko ciebie.

- A ja pragnę ciebie - wyznał nagle - ale nie chcę cię ranić i unieszczęśliwiać. A już to zrobiłem. - Spojrzał na nią błagalnie: - Daj mi jeszcze jedną szansę.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Bo dzisiaj niemal cię straciłem. - Jego głos znowu się załamał. - A tego bym nie przeżył.

Uśmiechnęła się. Na to czekała. Na to, aż się otworzy. Nie potrzebowała wielkich gestów ani romantycznych słów. Potrzebowała tylko jego.

Nachylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

- Nie zasługuję na ciebie - wyszeptał.

Z wielkim wysiłkiem uniosła dłoń i pogładziła jego szorstki policzek.

- Zasługujesz - odparła z żarem. - Zasługujesz, Lorenzo.

Czekała jeszcze na kilka prostych słów z jego ust, których nigdy od niego nie usłyszała. Nie wiedziała, czy Lorenzo będzie kiedykolwiek w stanie je wypowiedzieć. Ale to bez znaczenia, powiedziała sobie w duchu. On daje wyraz swoim uczuciom czynami, a nie słowami. Najważniejsze, że jest tutaj ze mną. To wystarczy.

Cztery dni po wypadku Lorenzo zabrał Sophy z powrotem do Hanmer Springs. Ucieszyła się, licząc na powtórkę tamtego upojnego weekendu. Czuła się już zupełnie dobrze, choć Lorenzo nadal traktował ją tak, jakby miała się zaraz rozpaść na kawałeczki. Jego nadopiekuńczość czasem nawet trochę jej dokuczała. Tak samo jak brak pocałunków, wspólnych namiętych chwil...

Zauważyła, że nie jadą w stronę urokliwego kurortu na wzgórzu, w którym mieszkali poprzednim razem. Skręcili w boczną dróżkę. Po kilku minutach zatrzymali się przy małym starym kościółku stojącym na środku szczerego pola.

- Sophy.

Był blady, drżały mu ręce i wargi.

- Lorenzo, co ci jest?

Spojrzał na nią.

- Czy wyjdiesz za mnie?

Była oszołomiona. Serce biło jej tak mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi.

- Tak... Och, tak! - zawołała.

Lorenzo, o dziwo, nawet się nie uśmiechnął. Potrząsnął tylko głową.

- Ale czy wyjdiesz za mnie teraz?

- Oczywiście, ale... - Zerknęła na kościółek.

- Chodź! - Wyskoczył z auta, otworzył jej drzwi i zaprowadził za rękę do wejścia do kościoła.

Pchnął ciężkie, drewniane drzwi. To, co ujrzała, wprawiło ją w stan najwyższego zdumienia. O mały włos nie zemdląca. Kościół wypełniony był po brzegi ludźmi. Wszyscy odwrócili głowy i uśmiechnęli się do niej. Rozpoznała wszystkich swoich bliskich, przyjaciół i znajomych. To, co następnie miało miejsce, przypominało bajkowy sen, a nie rzeczywistość.

Okazało się, że Lorenzo za jej plecami zorganizował całą imprezę z pomocą Rosanny, która, po pierwsze, była jej druhną, a po drugie, wybrała dla niej przepiękną i horrendalnie drogą suknię ślubną. Zrobiła jej profesjonalny makijaż, przykrywając podkładem i pudrem nadal trochę widoczny siniak. Na koniec Rosanna zawiesiła na jej szyi naszyjnik z kolekcji Sophy - ten, z którym wiązało się tyle pięknych wspomnień i który tak pasował do jej błękitnych oczu.

Panna młoda wyglądała zjawiskowo. Dziesięć minut później sunęła nawą kościoła. Do ołtarza prowadził ją ojciec.

- Tato, czy to wszystko jest... legalne?

Edward Braithwaite zaśmiał się pod nosem.

- Oczywiście, córeczko. Jestem przecież sędzią - powiedział, rozwiewając jej wątpliwości. Po chwili dodał zupełnie poważnie: - Lorenzo to dobry człowiek. Widać, że jesteś dla niego całym światem. Wierzę w niego.

Sophy ogarnęła wzrokiem tłum zebranych. Dostrzegła Wilsonów, Emmeta, Jaya, Vance'a, Kat, Carę tulącą swoje dziecko... Nadal nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Ujrzała Lorenza stojącego przy ołtarzu. Wyglądał nieziemsko, był jednak blady. Mama miała rację, pomyślała Sophy. Był tak spięty, że ponoć wszyscy modlili się, by stojący u jego boku Alex w razie czego złapał go, zanim zemdleje i osunie się na ziemię.

Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło. Wszystko poszło gładko. Oboje ze wzruszeniem powtórzyli słowa przysięgi małżeńskiej. Na ich palcach zaśniły obrączki. Lorenzo mógł wreszcie pocałować Sophy.

Wcześniej musiał jednak zrobić coś niezwykle ważnego. Powiedzieć słowa, które w niewielkim stopniu oddawały to, co czuł do Sophy. To potężne, niewyrażalne uczucie było poza jego kontrolą, lecz teraz już nie był nim przerażony. Wiedział, że nadaje ono jego życiu nowy kierunek, nowy sens. Jest nowym początkiem, o którym zawsze marzył.

Odchrząknął, wziął głęboki wdech i spojrzał w jej piękne błękitne oczy.

- Kocham cię - wyznał łamiącym się głosem. - Kocham cię, Sophy - powtórzył pełną piersią, tak żeby wszyscy zebrani go usłyszeli. - I dziękuję ci za wszystko. Zostań ze mną na zawsze. Tak jak przed chwilą przyrzekłaś.

Uśmiechnęła się promiennie. Wreszcie się doczekała tych słów. Wreszcie się doczekała tej chwili.

- Zostanę. Tak jak przyrzekłam. Zostanę z tobą na zawsze - zapewniła go z żarem. - Ale... - Nachyliła się do niego i szepnęła mu coś do ucha.

Zaniepokojoną twarz Lorenza rozświetlił po chwili szeroki, rozbrajający uśmiech.

- Oczywiście, nie zapomniałem zapisać cię na masaż - odparł z błyskiem w oku. - Jeszcze przyjemniejszy niż tamten...

